JEDNODNIÓWKA



1916

Szanownej p. L. Antoniewiczowej
na pamiątkę pobytu jej w Ciążeniu
szczerze oddana
W. Tyszkiewiczowa
4/3 1919

JEDNODNIÓWKA

1916

Bezdomnym, —

Błądzącym wśród nocy bez gwiazd na drogach bezludnych, —

Czekającym na świt, —

Dźwigającym krzyż dzisiaj, który znakiem będzie przyszłości, —

poświęcamy.

Przyjdźcie błogosławieni Ojca mego, otrzymajcie królestwo wam zgotowane od założenia świata. Albowiem łaknąłem, a daliście mi jeść; pragnąłem, a napoiliście mnie; byłem nagim, a przyodzialiście mnie; chorym, a nawiedzaliście mnie; byłem więźniem, a przyszliście do mnie.

(Z ewangelii św. Mateusza 18, 2—5).

Jezus przywoławszy do siebie dziecię, stawił je w pośrodku i wziąwszy je w objęcia rzekł: kto przyjmie jedno takie dziecię dla imienia mego, ten mnie przyjmuje.

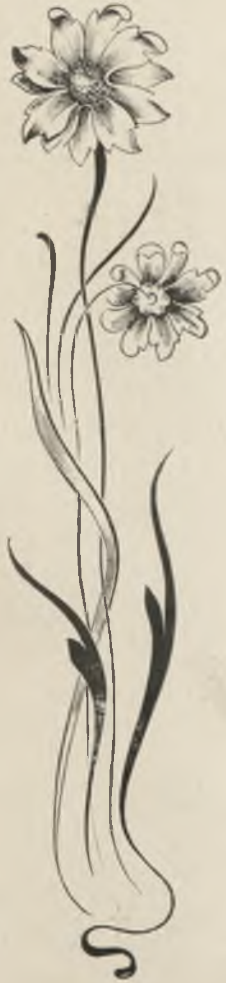
(Z ewangelii św. Mateusza 23, 44—36).

Niech powyższe słowa Zbawiciela utorują drogę „Jednodniówce"!

† Edmund, Arcybiskup.

Gdy cały świat dziś „przerażony okropnościami wojny, która druzgoce ludy i wstrząsa narodami“, na ziemiach naszych spełnia się cud wyczekiwany przez Krasińskiego, cud miłości i wspólnej pracy, który może nas zbawić. — Więc gdy od źródeł Wisły do borów nadniemeńskich wzrastał jęk bólu i głodu u nas wszystkie warstwy pracowników ducha i szerokie masy ludu wyciągają bratnią dłoń, by Wam, którzy nosicie krwawe brzemię wojny przynieść chociaż trochę ulgi. — „W tej chwili tak pełnej nienawiści, tak okropnej krwi rozlewem“ odradzamy się wszyscy we łzach i bólach, w pracy i zabiegach wspólnych, to też na widnokręgu szarym od dymów pożogi powstaje jutrzenka dnia, w którym „po usunięciu wszelkiej niezgody tylko miłość będzie panowała pomiędzy ludźmi“. — Zrozumieliśmy te słowa Ojca św., wiemy że nie pychą i nienawiścią, lecz pracą i miłością bratnią stoją narody, nie używaniem i butą, lecz wartością wewnętrzną i duchem poświęcenia obywateli.

Ludwika Turnowa.



Od Krzyża Twego....

Od krzyża Twego nie wstanę, o Chryste,
dopóki łuny nie zgasną ogniste
co się nad krajem moim świecą —
póki rozpaczne nie zamilkną głosy,
co krzykiem bólu biją w Twe niebiosy
i niby ptaki trwożne do cię lecą.

Od Krzyża Twego nie wstanę, o Panie,
któryś nas uczył czem jest miłowanie,
póki nie spocznie oręż w wrogim ręku:
póki nie ujrzę, że na krwawe pola
zstąpiła jasna, w świetlnej zorzy — Dola,
i między nami ostała — — bez jęku.

Od Krzyża Twego nie wstanę, o Chryste
póki serc polskich ofiary przeczyste
nie zmuszą Ciebie do radosnych cudów;
Niech z grobu cieniów, zrodzonych w rozpaczy,
na świt Twa ręka wyprowadzić raczy
Lud — najnędzniejszy wśród ludów.

27. 2. 1916. M. Ruszczyńska.

* * *

Lubię rozczytywać się w „Myślach“ Pascal'a.

Każda z nich to skarga wielkiego umysłu, który rwie się ku Prawdzie, co krok raniony boleśnie ciasnemi granicami, jakie mu zakreśla przyrodzenie. Każda z nich to jęk duszy, spragnionej wewnętrznej harmonji, a wciąż sprzecznemi porywami mąconej.

Taka jest zresztą dola nas wszystkich.

Każdego rozum zawodzi.

W duszy każdego z ciemnych zakątków wypełzają raz w raz uczucia i pragnienia, od których odwraca się z niechęcią, smutkiem, przerażeniem lub wstrętem. Co chwila jady samolubstwa obezwładniają myśl, lub zniżywszy ją do roli swego służalca wnikają w życie.

Każdy z nas dorzuca w ten sposób swój haracz zła do ogólnej sumy stosunków, wśród których się obraca.

Jakie to upokarzające!

I szczęście tylko całe, że życie to nie prosta wypadkowa składających się nań czynników, ani też wyłącznie ich synteza, lecz jeszcze coś więcej. — To potęga twórcza, która każdą chwilę czasu, w jakiej się ziszcza, przesyca nowemi żądzami, ideałami i faktami, nawiązując do przyczyn głęboko przed okiem naszem ukrytych, lub pojęciu niedostępnych a we wszystkiem co daje niesie pierwiastek dobroczynny.

Jak wierzę w nędzę natury ludzkiej, tak wierzę w dobroć życia.

Zwraca ono ku nam najczęściej oblicze smutne i łzawe lub groźne i nieubłagane. Ukazuje się w mgle niezniszczalnych marzeń i pragnień, w huraganie klęsk albo chwale krzyża łacniej jak w wieńcu róż, — a jednak jest dobre! Bo z łun pożarów, łez krwawych czy szarzyzny, miernoty, ciężkich zawodów, niedbalstwa, zapomnień, błędów i upadków utkane, zawsze jednak wyciosywa w nas coś nad wszystkie wielkości większego, wyciosywa... wartości moralne. Z chaosu wydarzeń i przeżyć wyłaniają się one powoli, — kształcą, doskonalą i ogromnieją, — aż dorosną do wieczności. — W tej pracy twórczej życia, my z otchłani naszej nędzy powołani jesteśmy uczestniczyć.

Nie wolno nam stać biernie!

Myślą jasną rozumieć musimy siebie i życie, by z jego skarbów zbierać skrzętnie wszystko co do pielęgnowania ducha konieczne, wolą niezłomną trwać musimy na drogach, które wiodą ku wyżynom istnienia.

Myśl i wola to niby dwie pochodnie płonące w dostojnym przybytku duszy, by mogła dary życia przyjąć z należytą czcią i uroczystością.

Dr. Dobrzyńska-Rybicka.

Poznań, 18. IV. 1916.

Z archiwum hr. Kwileckich w Dobrojewie.

Kasztelanic lędzki *Adam z Kwilcza Kwilecki*, pan na Ostrorogu, rotmistrz chorągwi husarskiej, był człowiekiem majętnym i wpływowym. Z województwa poznańskiego podpisał elekcyą Stanisława Augusta, jako poseł kaliski był 1775 r. członkiem sądu sejmowego, a 1777 r. został konsyliarzem Rady Nieustającej. Dla tego to poseł rosyjski w Warszawie, hr. Stackelberg, starał się zjednać go sobie.

W tym celu wyrobił mu u carowej Katarzyny order ś. Anny, o czem doniósł kasztelanicowi z Warszawy 10 sierpnia 1776 r., prosząc go zarazem, aby w zamian zrzekł się poselstwa na rzecz Lubiatowskiego, i przyrzekając, że dbać będzie o jego interesa na sejmie.

Ale Kwilecki był zaszczytów chciwy. Nie dość mu było orderu ś. Anny, zapragnął mieć także order Aleksandra Newskiego i oń, dziękując za tamten, prosił Stackelberga.

Życzeniu jego nie stało się zadość, natomiast Stanisław August udzielił mu 1779 r. orderu ś. Stanisława.

Odtąd odstrychnął się Kwilecki od Moskwy, o czem dowiadujemy się z listu Stackelberga, pisanego z Warszawy do Kaźmierza Raczyńskiego 29 maja 1780 r.

„Il y eut un tems — pisał Stackelberg — *que je cultivai les meilleures dispositions à l'égard de M. Kwilecki, mais je m'apperçois actuellement qu'il s'est engagé avec quelques inconsidérés dans une route, qui ne lui donne plus aucun droit à mes soins. Votre Excellence est trop de mes amis pour exiger de moi aucune démarche en sa faveur.“*

Innemi słowy, p. kasztelanic stał się przeciwnikiem Rosyi.

Stracił więc łaski Stackelberga, ale za to zyskał względy Stanisława Augusta, który w r. 1782 mianował go kasztelanem przemęckim, 1786 r. nadał mu order Orła Białego i w tymże roku, dnia 21 sierpnia, zaszczycił go listem, w którym prosił go, aby swym wpływem przyczynił się do wyboru zacnych posłów na sejm warszawski.

W czasie sejmu czteroletniego kasztelan Adam należał do stronnictwa patryotycznego, które dążyło do naprawy Rzeczypospolitej i przymierza z Prusami.

Z tego to czasu zachowały się listy marszałka sejmowego *Stanisława Małachowskiego*, pisane z Warszawy do Adama Kwileckiego. Ponieważ zawierają bardzo zajmujące szczegóły, podajemy z nich wyjątki, zachowując pierwotną pisownią.

Z Warszawy, 22 grudnia 1788.

„Danina X. Radziwiłła[1]) dla Rzeczypospolitey ofiarowana 6210 ludzi zbroynych, oraz JW. Generała artyleryi[2]) 10,000 ludzi... Jezierski znowu tu wnosił, że dzwięk Rubli Moskiewskich słyszeć się daie y mówiąc o Korticellim radził, aby od Rubli zacząć a na Złotych Cesarskich kończyć.... Na Rapport Lubowickiego który uczynił do Departamentu, że na Ukrainie są Pozory do buntu chłopskiego, chałas się wielki zrobił w Izbie. Otóż zlecono zaraz Marszałkom wydać ordinanse do niektórych Kommend, aby na Ukrainę poszły, a o Ewakuacyą Woiska Moskiewskiego znowu

[1]) Karola Panie Kochanku.
[2]) Szczęsnego Potockiego.

Notę znowy powtorzyć kazano.... Hetman Branicki dziś ma bydź pierwszy raz w Senacie po Polsku."

29 grudnia 1788.

„Przystąpiono do Elekcyi Kommisarzy Woiskowych. Obrani tedy z Senatu: Grocholski, Kasztelan Bracławski, Karśnicki, Kasztelan Wielunski, Niesiołowski Woiewoda Nowogrodzki. Z Stanu Rycerskiego: Czaplic, Walewski Romuald, Starzenski Starosta Branski, Bielinski Czesnik K. Dembowski Starosta Jankowski, Szydłowski Teodor, Xiążę Mikołai Radziwiłł, Szwykowski Szambelan, y Jerzy Żabiełło. Z Woiskowych: Krasinski Oboźny, Czapski Pułkownik, Oizrzynski Pułkownik, Stetkiewicz, Jelinski. Tak Hetmani iako Kommisarze Woiskowi Nowoobrani zaraz Przysięgę wykonali, a na Dniu Sobotnim Jurisdikcyą swoię zafundowali. Zapewne JWWPan Dobrodzi kręcić troche głową zacniesz nad Elekcyą Kommisarzy. Porozstrzygały się Kreski na rożne Partye, y tak wypadło.... Seweryn Potocki podał też tu Projekt żeby ordery maiący na potrzebę teraznieyszą Rzp. zapłacili po 300 Zło. od orderu Orła Białego, a od orderu S. Stanisława po 3000 Zło. y Sam zaraz 3000 Zło. oddał do Laski. Nadto in futurum zeby maiący ordery płacili Podatek coroczni po 2000 Zło. od Orła Białego, a po 1000 Zło. od S. Stanisława. Do Smaku przyszedł ten Projekt tym wszystkim, ktorzy orderow niemaią, ale zaszczyceni nim piszczeć zaczęli, że ten Projekt do ruiny by nas przyprowadził, że przyszłoby Nam Gwiazdy odpruć, y te u Tronu złożyć. Projekt więc wzmiankowany ad deliberandum poszedł. Hetman W. K. iuż po Polsku był w Senacie."

12 stycznia 1789.

„Boleję nad Stratą Woiewody Gnieźnienskiego, [1]) bo w osobie Jego postradałem Szanownego Przyjaciela. Takie to życie ludzkie nikczemne na Świecie! Wiatry gonimy, a wszystko niczym się konczy. Projekt wedle Werbunku ludzi luźnych podpisany, y każdemu Regimentowi po 1000 Zło. narekrutować kazano. Notę o Ewakuacyi Woiska Moskiewskiego znowu podpisano niezważaiąc y na wzięcie Bosakowa. Projekt względem Podymnego ad Interim płacić się maiącego, nim inne Podatki ustanowione będą, iest tu wprowadzony, Wdztwa Wielkopolskie nawet dono gratuito ofiarowały toż Podymne nateraz, ale Ruś sprzeciwia się temu.... Jest także Projekt względem Starostw, aby te były obrocone w Ziemskość sposobem Dobr Pojezuickich, y zeby Prawa Possessorow bądz Dozywotnich, bądz Emfiteutycznych były bonifikowane. Suchodolski podał znowu Projekt względem Biskupstwa Krakowskiego, zeby Stotysięcy naznaczyć przyszłemu Biskupowi, a resztę obrocić na potrzebę Rzp. y Dobra Slachcie per plus offerentium popuszczać. Wiele iest Projektow uzytecznych, ale to przeciwnością, że oporem wszystko idzie, y końca czyli Decizyi niemasz w rzeczach pilnych. Należałoby iak naispiesznieу ustanowić Podatek, y ztąd ustanowić Woisko, bo gdy tego nie będzie, wszystko iest niczym. Tymczasem rozność zdań wszystkiemu na przeszkodzie, y gdy tak twardo rzeczy poidą, nie mozno Sobie wiele pomyślności obiecywać."

26 stycznia 1789.

„Na zaciągnienie Summy 10 Millionow dla Korony, y 3 Millionow dla Litwy zapadła iuż Konstitucya. Dałby Pan Bog, zeby ten Interes Podatku ułożyli, bo bez tego nic bydź pomyślnego niemoże. Woiska trudno pretendować bez funduszu udeterminowania, a gdy Jego mieć nie będziemy, zawsze zostaniemy nikczemni, bo bezsilni, y na nic się wszystkie Rady niezdadzą."

1 czerwca 1789.

„O wniście do kraju 550 Zwoszczykow czyli przechód Ich do armii, chałas tu był, przeprowadzenia zaś żądanego niewol-

[1]) Franciszka Ksawerego Kęszyckiego.

nikow Tureckich Rzpta niedozwoliła. Satkowskiego Biskupa Słukiego[1]) przyprowadzono iuż y Delegacya od Stanow wyznaczona sciśle go examinuie. Sztakelberk pisał Bilet do marszałka, że Go zadziwia wzięcie Biskupa Ruskiego, odebrał krotką odpowiedź, że wzięcie X-a Satkowskiego obywatela w własnym kraiu mniey zadziwiać powinno od wzięcia Biskupow Polskich w kraiu, y do Moskwy zaprowadzenia. Xiąże Kurlandzki odpisał grzecznie, że wyznaczonych Ludzi chętnie przystawi. Xiąże zaś Potemkin odpisał grzecznie na List dawniey pisany o owe wprowadzenie Ludzi do Smiły: explikował się z tego. Naostatek przywiązanie do Kraiu Polskiego wytłomaczywszy, na dowod tego ofiarował Rzptey Broń na 500 Ludzi, y 12 armat. Popka w Łucku swiezo powieszono, y degradował Go X. Lewinski Officyał Łucki, przeczytawszy Inkwizicye, y Dekret."

31 sierpnia 1789.

„Rzeczą iest pewną, że się tu niechęci odkrywać zaczynaią między wielu osobami, a publiczność tracić może na tym. Sprawa Ponińskiego może Ich więcey pomnożyć, bo Ten wspolników Seymu 1775 powoływać chce, y iuż to sądownie w Głosie swoim oświadczył. Podobno ma zamysł ciągnąć Wodza. Z tego rozmazywania rzeczy, y z tey nieszczęśliwey Sprawy obawiać się należy przeciwnego takiego skutku.... Brigady pomnożono, y liczbę Ich powiększono, Rotmistrza Rangę udecidowano to iest maią być bezpłatny. Mają Moc służyć, gdy zechcą, y gdy Rotmistrz do Chorągwi przyiedzie, y Służbę odprawiać chce, Kommenda przy nim, fortragowanie od niego zawisło, gdy zaś niechce być u Kommendy, to liber. Officyalistow Kommissyi Woiskowey Pensye ustanowiono. Urzędy te niemaią bydź przedawane. Na Extra Expensa, y na Officyalstwa 35000 Zło. Kommissyi Woiskowey wyznaczono. Rejent Litewski z Koronnym rowną Pensyą mieć ma."

7 września 1789.

„Donoszę nietylko że Etat woiskowy kontinuowany był w przeszłymtygodniu, ale ieszcze nieskończony. Udecidowano szczegulnieysze Artikuły względem Kawaleryi Narodowey, a potem udeterminowano okoliczności względem Gwardiow, które tak się zostać maią, iak są, y niemi do życia Król Imć władać ma, a po zeiściu Jego tak Gwardie, iako milicya Grodzieńska oraz Pułki Krolewskie do Komputu Woiska Rzp. przyłączone bydź maią, y od Kommissyi Woiskowej dependować ma wszystko to Woisko. Szeffowska Pensya na 10 tysięcy Złotych determinowana."

5 października 1789.

„W przeszłym tygodniu o Generałach y Brigadierach oraz Vice Brigadierach cała sprzeczka. Otoż conclusum, że z woli Stanow nominował Krol 4 Generałów Majorow to iest Xcia Jozefa Poniatowskiego, Zabiełłę, Kościuszkę y Suffczynskiego, a Kommissya Woiskowa 3 Generałow Majorow z pomiędzy służących aktualnie w Woisku fortragować ma. Podobno ma bydż Xże Jabłonowski, Czapski y ktoś trzeci. Kommendantem także fortecy Kamienieckiey nominował Krol Orłoskiego Generał Majora. Co się tycze Generał Leitnanta, tego kreacyą do 1szego marca wstrzymano.

2 listopada 1789.

„JWMarszałek N. K.[1]) ieszcze w Wrocławiu bawi, y zdrowszy bydź ma. Woiewody Inowrocławskiego[2]) szkoda, bo Człowiek zacny. Sama y z Córką iechała onegday przez Raszyn do Wielkiey Polski."

---

[1]) Sadkowski, niegdyś kapelan poselstwa rosyjskiego, był głównym sprawcą wszystkich tajemnych przeciw Polsce knowań. Odkąd został biskupem, wszystkie godności duchowne rozdawał popom, z Rosyi sprowadzonym, a liczba cerkwi wzrosła z 94 na 300.

[1]) Nestor Kaźmierz Sapieha.

[2]) Józefa Mycielskiego.



M. Wywiórski.

9 listopada 1789.

„Na nas zawsze Strach, y lękać się o Stratę należy, Dai Boże, aby tylko na Gdansku się skonczyło. Nasze Rady niewiele znaczą dotąd, gdy Podatku pewnego niemasz, aby dostarczył potrzebom Woiska Stutysiącznego ktorego ieżeli niebędzie, zawsze bezsilni bać się musimy.... Xciu Wirtembergowi Indigenat przyznano favore Xcia Generała, y ieszcze podany iest Projekt który do Deliberacyi poszedł, aby Generalstwo Leitnantostwo wakuiące oddać mu, ale to się podobno wstrzyma.“

21 grudnia 1789.

„Bog to wie naylepiey co się z nami dziać będzie w przyszłości, ale coś niemasz Pozoru do Spokoyności, bo jeżeli między zagranicznymi Woina trwać będzie, to się wszędzie szerzyć zapewne będzie.“

4 stycznia 1790.

„W Delacyi swoiey y JWWPana Dobrodziea umieszcza Xiąże Kalixt. Powinniby tę Sprawę Poninskiego cale umorzyć bo to iest tylko do zakłocenia wewnętrznego okazyą. W Woinę podobno wniść Nam przyidzie przez przyszły który ma bydź allians. Jest to dla Nas zaprędko, bo ieszcze Siły nasze nie są tak mocne, żebyśmy się w Woinę wdawać mogli.“

Z listów tych widać, jak roztropnym i przewidującym mężem był Małachowski. Szanowano go powszechnie, czego dowodzi między innemi uroczystość, o której donosił z Warszawy J. Kwilecki kasztelanowi Adamowi doia 18 maja 1789 r.:

„Na S. Stanisław — pisał — z okazyi Marszałka seymowego Imienin złożyliśmy się y daliśmy w Pałacu Rzeczypospolitey wielki bal z kolacyą i Illominacyą w trzech Salach. Tańcowano w 5 Salach, stoły były y w dwoch namiotach w Ogrodzie, 3000 Biletów wydano, expens na to przechodził zł. 2000. Merlini miał dyspozycyą Illominacyi Ogrodu y dał także Imaynacyą. W środku Ogrodu reprezentowany był Pałac wieczności kolorowemi Lampami Illominowany w którym stał Marszałek w Płaszczu Konsulow Rzymskich dźwigający upadającą Wolność Polską a z drugiey strony Oyczyzna na Głowę Jego wieniec kładąca. Przy tym Pałacu Illominowanym mniemanym po Kolacyi zastał Krol z Senatorami y Ministrami Kawalerami idący Orszak samych Matron Polskich na których czele będąc Xiężna Adamowa (Czartoryska) do obok idącego z Krolem Marszałka deklamowała wiersze od Kobiet Polskich, y oddała Krolowi wieniec żeby go włożyl na Głowę Marszałka.“

Kasztelan Adam Kwilecki, ożeniony z Weroniką Łącką, zmarł w Dobrojewie 25 lutego 1824 r. Był to ostatni szlachcic wielkopolski, który nosił się po polsku.

On to zbudował 1784 r. dzisiejszy pałac w Dobrojewie i przy nim założył park w smaku francuskim.

W pałacu znajdował się dawniej portret carowej Katarzyny. W r. 1848, gdy to wedle wyrażenia starego chłopa dobrojewskiego były „bachandrye szlacheckie“, kosynierzy, którzy założyli obóz w Dobrojew,e, podziurawili ów portret, który następnie, wyrzucony na strych, zniknął. Dostało się też zachowanemu dotąd portretowi Stanisława Augusta, który przeszyto kulą.

Prof. Dr. Stanisław Karwowski.



Jerzy Hulewicz.

Otulona w mgły szare na skrzydłach zamieci
W koronie promienistej z błyskawic i grzmotu,
Nieprzyjaciółka ciszy, władczyni łoskotu
Groźna burza żywiołów zrywa się i leci...
Leci, nie pyta o nic co padnie po drodze,
Czy kwiat pełen nadziei, co wykwitł do słońca,
Czy pisklę niedołężne, którego obrońca,
Dąb stuletni upada przy wędrowca nodze....
Leci nie pyta o nic — niezbłagana, dzika
Czy serce pełne życia, dłoń skrzepłą napotka. —
Ją upaja, zagrzewa, ta piekieł muzyka.
Dla niej zniszczenie pierwsza i ostatnia zwrotka —
Gorzej — gdy furya wojny do kraju zawita...
Biada, kogo nieszczęsny ten huragan spotka!...

. . . .

Marya Cichowiczowa.

Poznań, 10 II. 1916.

Wisło, Wisło, widziałaś ty wiele.

Wisło! Wisło, widziałaś ty wiele,
Krwią spłynęłaś, od źródeł po kres;
Znasz ty nasze radosne niedziele,
I powszednie dni przegorżkich łez.

Znasz ty nasze ranki i wieczory;
Mrok, i jasny, niebosiężny wzlot,
Różnych czarów, i przeróżnych rot,
Fale twoje znają rozhowory....

Wisło cicha, potężna i wierna!
Tak jak cichym i wiernym jest lud,
Pełna krasek, rusałek i złud!
Wiecznie młoda i siłą bezmierna,
Powiedz, zaliż zabraknie ci wód!
Zaliż źródeł ukrytych miljony
Może zgasić złych dni błahy trud?
Co po świecie rozpuścił zagony?

Powiedz, zaliż zabraknie ci wód...?

Roman Wilkanowicz.

NAD BAŁTYKIEM.

I.

Zachód słońca.

Cicho szumią znużone długą pieśnią fale,
I wodne duchy do snu swym szmerem kołyszą,
I pośród przyrodzenia owianego ciszą —
Swiatowit na spoczynek zstępuje wspaniale!

Już promieniste gońce dobiegają Rugii
I wieńczą modrzewiową różanie świątynię,
Szybko spieniony rumak śród błękitów ginie,
Mijając chyżo morza niebieskawe smugi.

Tak przejmowani dreszczem tajemniczym trwogi
Mówili starożytni w obec Twego cudu,
Chyląc z pokorą czoła przed swoimi bogi....

Dzisiaj kiedy Ty znany pośród Twego ludu,
Ty, co skinieniem palca rządzisz ląd i morze,
Dzisiaj patrzym bez wzruszeń na Twe cudy Boże!

Kołobrzeg, w lipcu.

II.

Zorza wieczorna

Już purpurowa zorza zarumienia fale,
Całując brzeg zielony i rzewną pieszczotą
Słodzi w chwili rozstania ból i ciche żale,
Kładąc na chmurne czoło aureolę złotą!

Wkrótce zazdrosna chmura zorzy blask pochłonie,
I rzuci mgłę błękitną na wodne przestrzenie,
I blask ostatni spłynie w przepaściste tonie,
Ostatnią gasząc iskrę, ostatnie wspomnienie!

Lecz zorza znów powróci rozproszyć mgły szare,
Różowym znowy blaskiem cichy brzeg obleje
I fale dumające uśmiechem ocuci...

A serce raz straciwszy nadzieję i wiarę,
Z szyderstwem bólu wspomni dawne swoje dzieje
I nigdy, oh na wieki do nich nie powróci!

Uriela.

Maciej Wierzbiński.

DO SŁOŃCA.

Mówili jej, upominali w ciepłej chacie: nie chodźcie, kobieto, w tę noc, nie chodźcie na zatracenie!..., ale ona, głucha na wszelkie rady, potężnym magnesem wiedziona, wstąpiła jednak w gęstą ciemnicę wietrzną, dżdżystą, nasiąkłą zimnem i deszczów i śniegów. Wyrostek wywiódł ją z ostatnich opłotków Łowicza na ścieżynkę polną i ruszyła przed siebie w czerń bezkreśną pustynną, machinalnie szalem się otulając.

Szła żwawo, radośnie. Obeschły łzy, co od kilku miesięcy sączyły się raz wraz z opuchniętych oczu bezwiednie i cicho, niby kryształowe wody ze zródełka zamierającego chwilami. Zagościła w niej wielka ufność, ogrzała ją i pchnęła naprzód śmiało, bo zdało jej się, że zbliża się kres mąk i cierpień, że skok tylko jeden dzieli ją od Skierniewic, od domu, od dziecka.

Skoro udało się jej dotrzeć do Łowicza i wykraść się z miasteczka, nie grozi jej już nic. Gadali wprawdzie ludzie, że tam gdzieś za brzegiem rzeczułki usłały się wojska w nieprzebytych, żelazem groźnem najeżonych szeregach, utaiły w okopach zdradzieckich niby wilków głodnych stada w bagniskach, ale coś w niej śmiało się z tej bajki urągliwie. Miała przecież przed sobą gwiazdę promienistą, jak ongi trzech królów wiodła do stajenki Chrystusowej, a za jej przewodem ominie bezpieczną nogą przeszkody, przepłynie przestrzeń jak obłok cichy i spocznie nareszcie w słońcu.

Na samą myśl o domu drzały w niej nerwy wszystkie, jak struny arfy cudownym poruszone zefirem, i grały hymn radości najwyższej, co wyposażał ją siłą i odwagą bohaterów i unosił w niebiańską strefę archaniołów.

Wracała do dziecka...

W złą godzinę opuściła swe maleństwo. Było to w końcu lipca, gdy spadła na nią wieść o zgonie matki w Nieszawie. Spłakała się, wspominając jak to matczysko spracowane mawiało jej nieraz: »Ty, Jadwisiu, oczy mi zamkniesz....« Nie zamknęła jej oczu, nie uścisnęła twardej a dobrej ręki na ostatnie pożegnanie. A teraz zapóźno było jechać. Na cóż opuszczać kramik z nabiałem, który był na jej głowie? Czy można pozostawiać dziecko pod opieką takiej jak Basia młodej dziewuchy? Chciała ostać w domu, ale mąż w fabryce zajęty, mówił: »Jedź, bo jeszcze siostry całki dobytek matczyny sobie przy-



J. Graczyński — Poznań.

właszczą, niczego tobie nie użyczywszy«. Prawda, niejedno z chudoby przydałoby się nie dziś to później trzyletniej Marysi. Trza było jechać.

Ale jakoś nie sporo jej było. A gdy wsiadła na wózek, co miał ją zawieść na kolej, trzasło i załamało się koło. Zły znak, tchnęło ją coś, jakby przed podróżą przestrzegając. Jednakże wytrwała w raz powziętym zamiarze i — pojechała na swe nieszczęście.

Ledwie starą Włodarczykową złożono na wieczny spoczynek, gdy raptem zmąciło się, zepsowało coś do cna na świecie. Jakiś grom uderzył w glob ziemski i, w trzęsieniu ziemi zachwiało się wszystko, zakołowrociło się w głowach. Usunęły się z pod nóg podstawy, stargały się stosunki, stoczyło się wszystko w wiry burzy szalonej i powszechny zapanował chaos, z którego odmętów nie było widać jutra. I szedł po ziemi dreszcz grozy śmiertelnej i krzyk puszczyków: wojna! wojna!....

W struchlałej duszy kobiety stanął lęk okropny. Kiej wojna, to męża jej wzieni w szeregi, boć przecie w grenadjerach służył, gdy go poznała. Poszedł i może oczy jej nie zobaczą go już nigdy a dziecko ostawił Basi lub sąsiadom na poniewierkę....

Zwaliła się na nią niedola. Serce szlochało, kołatało się w piersi jak ptak schwytany i więziony w klatce, i rwało do dziecka daremnie. Przygwożdzona brutalną wolą losu, wisiała na łańcuchu konieczności, pełna jęku i rozpaczy. Uciszyła się wkrótce, zapadła w spokój konieczny, lecz pod tą osłoną niepokój i tęsknica toczyły ją jak stonóg jądro drzewa, przeżuwały, trawiły, zabijały. Bladły, zapadały się lica, koszmary targały spoczynek nocny, w źrenicach szkliło się głuche, lękliwe osłupienie, pytające: czemu to?....

Lecz łysnął promień jasny i podniósł ją z upadku. Dzięki zabiegom dobrych ludzi uzyskała przepustkę do Łowicza. Nie dalej, ale wydało się to niemal szczytem szczęścia, gdyż z Łowicza do Skierniewic było już blizko, bliziuteńko — dla niej, co dotąd tysiące mil była od dziecka odległą i grzęsła w otchłani czarnej beznadziejności.

Bogu dzięki, przebyła najgorsze. Teraz pozostawało jej tylko iść, iść śmiało....

Ale zerwał się mroźny wiatr i, gdy ze ślizgiej ścieżki dostała się w roztopy alei topolowej, uderzył w jej twarz, zapierał jej drogę lodowatem tchnieniem. Szumy, poświsty zagrały w uszach jej żałosną gędźbą jesienną i niby przez cmentarz cyprysowy brnęła mozolnie, rozdeptując bryły miąższej mazi, cienkie szybki lodu, kałuże, bajory i umijając konary drzew, zciętych siekierą żołnierską.

Niemal co krok znachodziła ślady wojny na stratowanej, zrujnowanej, nieprzystępnej drodze. Głębokie wyboje, wyrwy pociskami wyżłobione, poniechane puszki i graty blaszane, zgubiony hełm, podkowa, rzemyk, obalona i złamana Męka Pańska — wszystko to mówiło, że tędy przewalały się fale zastępów żołnierskich i przelatywał uragan bitewny. W jednem miejscu zerwało się przed nią stado kruczych widziadeł ptasich z ogromnym wrzaskiem, snać spłoszone z obfitego żerowiska. Istotnie, uszedłszy kilkanaście kroków, ujrzała na ziemi coś niby tłomok i rozpoznała cielsko końskie z wzdętym potwornie kadłubem, stoczone przez robactwo, poszarpane przez kruki i wrony. Owiały ją smrodliwe wyziewy rozkładającego się ścierwa.

Zboczyła na nagie pola, zwłaszcza, że jednocześnie przeszył ją lęk przed spotkaniem człowieka, i wędrowała raźnie po twardniejącej ziemi, znieczulona na wszystko. Lecz raptem zadrzała i, oszołomiona, stanęła jak wryta, gdyż z wyżyn kirem zasnutych runął na nią strach nieznany. Załomotały tam w przestworach skrzydła olbrzymich jakichś nietoperzy czy jaszczurów apokaliptycznych. Może były to upiory, wiedźmy w rozwianych krepach, pędzące orszakiem żurawim na Łysą Górę, z chorej fantazji poczęte. Od jazdy ich szalonej zakołysały się burzliwie fale powietrzne,

a potem z oddali doleciał huk czasowy, ponury i długi i popłynął nad ziemią dzwonów pogrzebowych muzyką, zapadając w duszę jej echem tragicznej grozy.

Sama jedna stała kobiecina wątła w toni tej nocy mroźnej, strachami zaludnionej, niby na pastwę jej wydana, lecz płonęło w niej ognistemi głoskami hasło: iść! iść! Więc ruszyła dalej a z dnia grozy wykwitł — uśmiech jej dziecka i oskrzydlił tęczą szczęścia stargane serce matczyne.

Zapomniała o torturach ostatnich miesięcy, znikła teraźniejszość, okropna jak smocza jama, i niczem zdały się wszelkie cierpienia wobec wyciągających się ku niej, obnażonych ramion dziecka, wobec tych ocząt śmiejących się gwiazdkami radości powitalnej i rajskiego dźwięku: mama!!....

Jak przed słońcem topniały przed tym obrazkiem góry nieszczęścia.

Więc prędzej! Do domu! Sunęła lekko, szukając węzełka przytroczonego do pasa — lalki, jaką miała dla dziecka, i nie zważała już na nic, ani na mróz zcinający wody ani na huk napełniający grzmotem pieczarę nocy. Musiała przeprawiać się przez rowy, przedzierać przez krze kolczaste na miedzach, lgnąć w brózdach, broczyć przez łąki, zapadać w trzęsawiska, suwać po lochach, ale wiodła ją naprzód gwiazda miłości i głosik dziecięcy szeptał, nucił jej coś przesłodko na ucho.

Aż wyrosły przed nią zwęglone kontury dziwaczne, zczochrane, zębate, widmowe. Zgliszcza chaty, stodółki, obory. Niedawno, mieszkały tam praca i dobytek, tętniło życie, teraz zionęła śmiertelna pustka i witała tułacza trupim oddechem.

Na tle tej ruiny głuchej rozpostarł się nagle bezmiar jej niedoli jak płachta i smutek wielki przygniótł ją stupudowym ciężarem. To co Bóg, co miłość rdzenna spłotła w węzeł uświęcony, rozdarła fatalność złośliwa i okrutna na trzy łzami ociekające, szmaty i cisnęło ją, męża i dziecko na trzy strony, skazując na męki. I otóż ona, matka, stała niby posąg boleści wiecznej wśród rumowisk zgasłego szczęścia ludzkiego, w głuchej puszczyków przystani, żebrząc tęsknem okiem ulitowania od owej nocy, co wyła rykiem dział siejących zagładę.

Chwiały się pod nią nogi. Bezmiernie znużona siadła na gruzach, wsparła się o resztkę murów okopconych i z rękoma martwo na kolanach złożonemi zapadła w stan spoczynkowy. Jak świece zdmuchnięte zgasły w niej odrazu wszelkie uczucia i myśli, zastygło życie; serce biło niby w bezmyślnym mechanizmie zegarowym a w duszy panowała pustka.

Czas płynął, mróz srożył się, oplatał nogi, ogarniał ciało, a ona jak kamień spoczywała bez ruchu, bez czucia.

Była chwila, że ocknęła się z martwoty, bo coś zawołało w niej: iść! iść!.... Hasło to wszakże przelecialo nad glową niby podmuch wiatru i nie dźwignęło na nogi kobiety. Ale poszła za niem zbudzona dusza...,

Szła znowu dalej do domu, a w piersi zimnej podnosiły się prądy ciepłoty lubej, przeczucia radości złotej. Mknęła teraz jak zefir po kwiatach, płynęła w przestrzeń wonią róż polnych, i na niebie zorze zasrebrzyły się pierwsze, gdy napotkała szereg ciemnych postaci z bagnetami. Powstrzymali ją.

— Dokąd idziecie kobieto?....

— Do dziecka.... — odparła bez lęku.

— Stójcie! Co za jedna?....

— Matka.,..

— Niewolno!

— Niewolno?! A czy wy, ludzie, matek nie macie?.... Pomnijcie na wasze matki, rzućcie broń morderczą i miasto zabijać synów matkom, idźcie do domów, do dzieci!.... Dość łez, dość żałoby, nieszczęścia....

Bagnety wypadły z rąk żołnierzy, a ona w aureoli macierzyństwa kroczyła, wszędzie otwierając sobie drogę magicznem słowem.

Jeszcze chwila a matka i dziecko splotą się w akord kryształowy szczęścia....

Serce wzbierało coraz większą radością i dumą, ogarniało wszystkie dzieci małe i duże, brało w siebie wszystkie łzy matczyne, rozkwitało w pąk miłości świetnej, potężniało, olbrzymiało jak słońce, co w złotej szacie wychylało się na świat z nurtów nocy.

Wreszcie ktoś krzyknął nad nią:

— *Wer da?....*

Nie odpowiedziała. Nie żyła.

24. 2. 16.

LEKARZE. (Bajka).

Jan cierpiał na duszności od dawnej już pory
I na ciężar na piersiach, — a jako człek chory
Stracił apetyt, wychudł, policzki mu zbladły,
Nogi były jak tyczki i brzuch miał zapadły,
A liczył jeno na to, że z promienną wiosną
Może wróci mu zdrowie i siły mu wzrosną.
. . . .
Raz więc, gdy nawpół drzemiąc, z chorobą się biedzi,
Wpadli do jego chaty najbliżsi sąsiedzi:
Michał, Aleksy, Karol, — chłopiska jak tury....
Z zazdrością na nich patrzył ów chudziak ponury
Z zazdrością!! . . . .

Lecz, że, jak nam wiadomo, każdy się uważa,
Za mędrszego od wszelkich doktorów lekarza,
Więc sąsiedzi nuż radzić! Rzecze Michał
— *„Wedle*
Mnie, tobie mogą pomódz tylko tłuste knedle." —

Lecz Aleksy wnet krzyknął:
— *„Głupia rada taka,*
Gdyż tobie dobrze zrobi jeno kulebiaka
Zwłaszcza, najdroższy Janku, jeżeli ją czasem
Zakąsisz starem sadłem i popijesz kwasem".

Na to Karol: — „Ty bydlę! próżno go rozczulasz
Jemu nie kulebiaka potrzebna, lecz gulasz!"
— *„Tyś sam bydlę! — chcesz po łbie!" Aleksy odpowie:*
I nuż się grzmocić wzajem, po plecach, po głowie,
Potem dwóch z nich jednego z całej siły wali.
W końcu przygnietli Jana, lecz jeść mu nie dali,
Ni gulaszu, ni knedli ani kulebiaki . . . .
. . . .
Czy myślicie, że Jan stąd wysnuł morał jaki?
— *Nie. On chociaż głód wielki w pustym brzuchu czuje,*
Wciąż się jeszcze namyśla kto go poratuje,
Kto z tych trzech szczerze radzi, a kto łże obłudnie....
. . . .
I tak myśląc, — z dnia na dzień coraz bardziej chudnie. —

Henryk Sienkiewicz.

„Z niedalekiej przeszłości“.



Mieszkańców Warszawy, używających podwieczornej przechadzki w piękny dzień wrześniowy 1830 r. dziwiło niezmiernie, że Wielki Książę Konstanty, wbrew utartemu zwyczajowi, nie bawi o tej porze w obozie, że nie zwiedza koszar i odwachów, lecz wraz z żoną, Księżną Łowicką, z okna pałacu Belwederskiego przygląda się pilnie snującym się w alejach pojazdom i tłumom publiczności.

Okoliczność ta wywołała ciche rozmowy o dworze Belwederskim i jego mieszkańcach; ten i ów wciskał się w tłum, by nie podpaść srogiemu cesarzewiczowi, mimo, że wszystkich uderzał łagodny, tęskny i rozmarzony wyraz twarzy Księcia.

On tymczasem, nie zważając na ruch uliczny, błądził smętnym wzrokiem po dalekiej przestrzeni. Rozkoszował się widokiem zanurzającego się w zieleń parku łazienkowskiego, słońca i rysujących się na tle błękitnego nieba szczytów świątyń stolicy.

Wreszcie, jakoby budząc się z zadumy, szepnął do opartej o ramię żony:

»Ileż to narzekań na mnie i na rządy moje!.... ale popatrz, Żonusiu, ot najszczęśliwszy kraj!.... wszędzie zaburzenia, niezadowolenie, rozruchy.... jedna Warszawa przedstawia obraz nieprzerwanej spokojności, zadowolenia i dobrego bytu!.... tu czuję się szczęśliwy, bezpieczny; nigdy nie towarzyszy nam eskorta, a rezydencyi naszej strzeże tylko dwóch inwalidów, uzbrojonych w pałasze! a nie jak w Petersburgu, Wiedniu i Paryżu, silna warta honorowa....

»Bo też nie ma lepszego Polaka nademnie.... prawdziwymi nieprzyjaciołmi kraju to te niepowściągliwe gaduły sejmowe.... Czegoż to oni chcą?..... Zamiary Aleksandra muszą prędzej czy później się spełnić! Odstąpiłem Mikołajowi korony, więc on musi oddać mi teraz prowincye zabrane«.

»Toż korpus litewski i administracja tamtejsza mojej podlegają władzy.... trochę umiarkowania i cierpliwości, a spełnią się życzenia moje i wasze«.

»Nikczemnicy, jak Rożniecki, Sas, Gendre straszą mnie codziennie rewolucyą.... a przecież generałowie Krasiński, Staś, Kurnatowski, Trembicki,.... a moje wisusy z czwartego pułku, a Sapery! ils sont maintenant à moi à la vie et à la mort!«

»Wojsko moje jest tak doskonałe i przygotowane, że mogłoby z dnia na dzień do boju wyruszyć«!

Po chwili dodał, »jednego temu wojsku braknie — wodza! — Car pour moi, je ne suis pas fait pour la guerre, ce n'est pas mon affaire«!

Słysząc to Księżna przerwała pieszczotliwie, »ależ mon mari żartuje!«

»Je ne plaisante pas du tout, odparł, je ne suis pas fait pour la guerre!«

Te wynurzenia Księcia przerwał brzęk ostróg spieszącego przez dziedziniec ku bramie wchodowej młodego porucznika drugiego pułku ułanów w towarzystwie kapitana huzarów Grodzieńskich.

»Da — da! ot braterstwo wojska polskiego z korpusem litewskim, szczepione w mej kancelaryi! zawołał z radością Książę, wskazując na młodych oficerów«.

»Czemuż to Żansiu gwardja polska i litewska, stojąc w Warszawie, przez 15 lat pod tymi samymi dowódzcami i przebywając często po całych dniach razem, w ścisłe związki przyjaźni

nie wchodzą, tylko zimną zachowują grzeczność? a przecież i tamci też polacy chociaż z prowincyi zabranych«.

Wielki Kniaź widocznie nie wiedział, że to on właśnie ustawicznie kopał przepaść między garnizonem polskim, a litewsko-rosyjskim Warszawy.

Okazywał on wprawdzie większą sympatję wojsku polskiemu i był z niego, jako z swego dzieła niesłychanie dumnym; w poufnych rozmowach ganił rosyjskie, a wychwalał wojsko polskie. Mimo to on wódz naczelny wojsk polskich występował zawsze w mundurze rosyjskim, mimo że Aleksander a także Mikołaj pokazywali się w Warszawie zawsze w mundurze generała polskiego. Przy każdej paradzie, przy każdej uroczystości przypominał Konstanty Polakom jakie było ich stanowisko, ustawiając wojsko rosyjskie w pierwszym, polskie w drugim rzędzie.

Manja dokuczania kazała mu dbać o to, by rozkazom jego podległa część wojska rosyjskiego, licznych doznawała korzyści. Tak n. p. starał się, by awanse w korpusie litewskim były szybkie, podczas gdy w polskich pułkach musiała młodzież kilkanaście lat czekać, zanim wyższy uzyskała stopień.

Korpus litewski, niejako ogniwo łączące Królestwo z prowincyami zabranemi, był więcej polski, niż rosyjski. Wszyscy żołnierze pochodzili z Litwy i z Wołynia; stopnie oficerskie zajmowali przeważnie Polacy, tylko sztabs-oficerowie pochodzili z dawnego wojska rosyjskiego, z których jednak większa część, pożeniona z polkami, czuła się »Warszawiakami«.

Nie trudno więc było wytworzyć owe braterstwo, które na widok młodych oficerów Księciu się przypomniało i tak bardzo go rozczuliło.

Oni zaś ani nie przypuszczając, że są przedmiotem obserwacji i rozmyślań groźnego wodza, przebiegli swobodnie dziedziniec, by po kilkugodzinnej pracy biurowej uraczyć się świeżem powietrzem przyległego parku Łazienkowskiego.

»Jakże tu miło, cicho, a swobodnie! przemówił po niejakiemś milczeniu, ułan.... praca biurowa mnie nuży,... te wieczne raporty, skargi, rozkazy — te prześladowania kolegów i braci! — ach to takie wstrętne, oburzające — szczęśliwy będę, gdy znów wrócę do pułku!.... Tam w Lubelskiem zdala od Nowosilcowów, Kurrutów i tej całej kliki belwederskiej tak swobodnie tak dobrze, a tu!....

»Ależ Tadeuszu! przerwał huzar, toż to przecież najwyższy zaszczyt, być przy boku jego cesarzewiczowskiej mości i dworu. Że też to wy koroniarze zawsze jesteście niezadowoleni, w duszy i w krwi buntownicy!.... Macie wszystko, wojsko, rząd, opiekę wszechpotężnego cesarza i króla!.... Konstytucję, dobrobyt!.... przecież człowiek tej miary, jak mój wuj, gen. Rożniecki albo kapitan Abramowicz.....

»Nie mówmy o tem Edwardzie! bo w tej kwestji nigdy się nie zgodzimy«, przerwał szorstko ułan, podrażniony ironiczno-złośliwemi uwagami kolegi, głoszonemi z gestem nieomylnego sawanta. »Ulóżmy lepiej plan na wieczór dzisiejszy«.

»Brawo, dzielny ułanie! proponuję zabawę w salach redutowych z kolegami mego pułku, lub też szklankę wina u Honoratki w wesołem gronie mych nadobnych przyjaciółek«.

»Nie lubię Honoratki przepełnionej zbirami policji, a że chciałem się dziś zabawić, więc chodźmy do twych huzarów, może spotkamy tam mego przyjaciela Adasia Woronieckiego«.

Poczem wmięszani w ciżbę w najlepszej komitywie ruszyli ku miastu, bawiąc się żarcikami i rozmową o spotykanych młodych panienkach.

To też nie podpadło im, że ta na pozór spokojna publiczność zdradzała pewne zdenerwowanie i niepokój nie zauważyli

że tu i owdzie słychać było niby jakieś ciche narady, szmery, szepty, które milkły z zjawieniem się wątpliwej figury, podejrzanej o styczność z tajną policyą.

A opowiadano tu sobie ciekawe nowiny. Więc, że przezorny Nowosilców, udając chorobę, wyjechał nagle do Słonina; dalej, że na pałacu Brühlowskim widziano karteczki z napisem: »Belweder będzie od nowego roku do wynajęcia«; inni znów zastanawiali się nad gorączkową czynnością policji, Makrota i Birnbauma. Powtarzano też posłyszaną gdzieś wiadomość, że Konstanty zamierza przenieść się do Włoch i na zawsze opuścić Warszawę. Zapewniano, że w wojsku, zwłaszcza w szkole podchorążych wre i kipi — że młodzież patryotyczna niecierpliwie wygląda jakiegoś wybuchu, który niebawem nastąpić musi.

Nie podpadło też młodym oficerom, że publiczność z zdziwieniem im się przyglądała. Bo w tym czasie ogólnego naprężenia nie codzień widziano oficera polskiego zapaniebrat z »Moskalem«.

Więc ten i ów, zwłaszcza młodzież akademicka, ciekawie o nazwisko ułana dopytywała, by je umieścić na liście oficerów podejrzanych.

Skreślonoby je natychmiast, gdyby zdołano zajrzeć do głębi serca jego.

Potomek rodziny rycerskiej, wyniósł z domu tradycye i uczucia, jakie za czasów Rzeczypospolitej wiodły przodków na kresy, by »w procederze z Tatary« służyć ojczyźnie i zaprawiać się do rzemiosła wojskowego.

Wnuk konfederaty barskiego, a syn mężnego legionisty z pod komendy Chłopickiego, wstąpił Tadeusz Bogusławski do wojska narodowego, aby za przykładem przodków siąść na koń, skoro ojczyzna powoła.

Obecne położenie kraju, uważał on jako przejściowe i był przekonanym, że prędzej czy później wypadnie z orężem w ręku upomnieć się o nieprzedawnione prawa ciemiężonej.

Przeciwnik wszelkich tajnych stowarzyszeń, nie należał do tak bardzo rozgałęzionych wówczas spisków, był przecież gotów na dane hasło pierwszy stanąć tam, gdzie powinność zawołała.



J Graczyński, Poznań.

Podczas gdy koledzy pułku wolny od słuby czas spędzali na polowaniach, kuligach, hulankach, — on zamknięty w kwaterze, zagłębiał się w historji swego narodu. Pilnie przeglądał dzieła wojenne, zwlaszcza o taktyce i strategji Napoleona.

Z przyjemnością spędzał wieczory u szefa swego, pułkownika Dwernickiego, słuchając z niezmiernem zaciekawieniem opowiadań starego wojownika o wielkich bitwach, których był świadkiem i uczestnikiem.

Skoro nadszedł rozkaz odkomenderowania do boku Wielkiego Księcia najzdolniejszego oficera pułku, wybrał Dwernicki pana Tadeusza, a ściskając na pożegnanie jego rękę, upominał jak ojciec: »Jedź młodzieńcze uczyć się, a wracaj z czystem sercem, nieskażonem zgnilizną Belwederu i jego otoczenia! Donoś też pilnie co mówi i myśli Warszawa«.

I pojechał pan Tadeusz, ale nie w chęci używania lub wywyższenia się, lecz celem pogłębienia nabytych wiadomości. Zabrał się tam z całym młodzieńczym zapałem do pracy, w przekonaniu, że doświadczenia w sztabie generalnym zdobyte, zużyje kiedyś na dobro kraju.

Tu poznał kapitana huzarów Grodzieńskich, a pracując w jednym wydziele, nawiązał z nim stosunki koleżeńskie.

Kapitan Edward Jęczmionowski, w którym było cokolwiek polaka, niemca i moskala, łączył w swojej osobie przymioty i wady każdego z tych narodów.

Z matki Kurlandki był synem oficera w służbie rosyjskiej, który chociaż polak, walczył 1812 roku jako adjutant generała Czaplica przeciw sztandarom narodowym.

Nie czuł on nigdy powołania do zawodu wojskowego, lecz nie odbywszy szerszych nauk, któreby go do innego zawodu usposobiły, został żołnierzem w przekonaniu, że na tej drodze zdobędzie znaczenie i intratę.

Wybrał korpus litewski, bo wiedział, że tu prędzej dosłuży się stopnia i znaczenia, a chorując zawsze na panka, wstąpił do pułku huzarów gwardyi w Warszawie, bo liczył na pomoc i protekcję stryja, generała Gerstenzweiga, który znów dla karjery i przypodobania się sferom panującym, zmienił nietylko nazwisko, ale nawet religię i otwarcie jako rosjanin występował.

Dzięki wpływom tegoż generała dostał się pan Edward do sztabu mimo, że nie posiadał odpowiednich zdolności, ani zamiłowania do pracy umysłowej. Dumny z natury, nie wchodził z nikim w ścisłą zażyłość, a wobec kolegów, zwłaszcza niższego stopnia, był zawsze cierpki i podejrzliwy.

Dla dogodzenia miłości własnej uczęszczał tylko w wyższe towarzystwa, zwłaszcza generałów rosyjskich, niemieckiego pochodzenia. Tu przy szampanie i grze w karty, czuł się szczęśliwy i swobodny; tu też przejął się panującym w tych sferach internacjonalizmem oraz ślepą bałwochwalczą uległością wobec wszelkiej władzy i potęgi.

Lubił zawsze i wszędzie imponować choćby błyszczącym mundurem lub względami Nowosilcowów i Rożnieckich, więc unikał towarzystw polskich, bo wiedział, że tam zalety te nie znajdą uznania.

Pana Tadeusza polubił, bo podobała się mu usłużność, skromność i szczerość kolegi. Starał się przecież nawet po za służbą zachowywać wobec niego pewną wyniosłość, ponieważ sądził, że wyrządza nielada zaszczyt, skoro on, kapitan gwardji, raczy zbliżyć się do skromnego porucznika liniowego.

Raz po raz obiecywał wprowadzić go w towarzystwo dygnitarzy rosyjskich, nawet polecać względom Wielkiego Księcia. Ale zdziwił się niezmiernie, skoro pan Tadeusz grzecznie, ale bardzo stanowczo podobne propozycje odrzucił.

Odmowa ta wywołała pewne oziębienie stosunków, aż błahe nieporozumienie w sprawach służbowych wywołało między nimi tak gwałtowną i namiętną duskusję, że zmusiło oficera polskiego do zażądania od kapitana honorowej satysfakcji.

Pan Edward przyjął wprawdzie wezwanie, lecz niby ze względu na obowiązki służbowe, prosił, o odłożenie rozprawy do urlopu noworocznego.

Po niejakimś czasie zjawił się w biurze kapitan Abramowicz z rozkazem szefa sztabu, odstawienia porucznika Bogusławskiego

do sławetnego więzienia w klasztorze Karmelitów. Tu ze zdziwieniem dowiedział się pan Tadeusz od komendanta, że umieszczony jest w areszcie tymczasowym, i że w krótkim czasie stanie przed sędzią śledczym.

Próżno łamało sobie głowę biedne żołnierzysko, za jakie przewinienie dostał się do kozy? Pocieszał się, że to jakieś fatalne nieporozumienie, które pierwsze przesłuchy wyjaśnią, bo nie przypuszczał nigdy, aby sprawa z kapitanem doszła do wiadomości wyższej władzy.

Ale zapowiedziany audytor się nie zjawiał. Czekał więc jeszcze tydzień, czekał dwa tygodnie, wreszcie napisał do pułkownikowej N., wdowy po znanym w Warszawie Napoleończyku, w której domu często bywał, aby prosiła przebywającą w swych gościnnych progach starszyznę wojskową o zajęcie się jego sprawą i wybawienie z tak przykrego położenia.



J. Graczyński Poznań.

Zjednany sługa więzienny doręczył list, ale wrócił bez odpowiedzi.

Ubodło to niezmiernie pana Tadeusza, temwięcej, że pułkownikowa okazywała mu zawsze szczerą, życzliwą przyjaźń, a także jej córka, panna Janina, którą on szczerze pokochał i na przyszłą towarzyszkę życia upatrzył.

W przypuszczeniu, że to jakieś nieporozumienie, napisał ponownie, ale z przesłanej odpowiedzi dowiedział się, że pułkownikowa nie życzy sobie korespondencji oraz odbierania listów od więźnia, bo to wywołać może niemiłe dla niej następstwa.

»Czyżby wszyscy go opuścili! Koledzy, przyjaciele, przełożeni, nawet ona? Czyż w nieszczęściu nikt ręki nie poda — słowem nie pocieszy?

I gdy takie pytania biedaka trapiły, zjawił się niespodziewanie kolega z szkoły podhorążych, porucznik Piotr Wysocki. Po wysłuchaniu żali pocieszał jak umiał pana Tadeusza, że niewola jego niedługo się skończy, bo wkrótce wielkie wypadki wypróżnią wszystkie więzienia, a być może zapełnią je ludźmi, którzy teraz nad niewinnymi się znęcają. Zaklinał, aby nie tracił otuchy, lecz wypełnił obowiązki żołnierza-obywatela, skoro nadejdzie odpowiednia chwila.

Pan Tadeusz próbował wydobyć z przyjaciela wyjaśnienie tak tajemniczych wywodów, ale zaniechał tego, widząc niepokój i zdenerwowanie gościa.

Wychodząc wspomniał pan Piotr, że teraz ani on, ani koledzy nie bywają w domu pułkownikowej, że tam jednym gościem kapitan Jęczmieniowski, który podobno cieszy się wielkimi względami jej córki; że codzień bywają razem na paradach, w Saskim ogrodzie i w teatrach.

Grom z pogodnego nieba nie wywarłby takiego wrażenia jak ta wiadomość; prawie bezprzytomny, rzucił się Tadeusz ku drzwiom, by zwołać dozorcę, ubezwładnić go, wydobyć się na wolność, odszukać rywala gdziekolwiekbądź i pomścić wyrządzoną sobie krzywdę. Skoro jednak spostrzegł, że plan ten jest niewykonalny, postanowił skrócić męki samobójstwem.

Po napisaniu listów do matki, przyjaciół i pułku snuł przez całą noc najróżniejsze plany, wreszcie postanowił napaść nazajutrz wchodzącego do celi z wieczorną rewizyą żołnierza, wyrwać mu pałasz i zadać sobie cios śmiertelny. Pogodzony z tą myślą, oczekiwał z rezygnacją zbliżenia się wieczornej godziny, układając w myśli wszystkie szczegóły wykonania zamiaru.

Tymczasem z nadejściem szarej godziny posłyszał wołania na kurytarzach, że na Solcu coś się pali!

Wtem, jak na pożarną trwogę, uderzył kilka razy dzwon i nagle umilkł, poczem odezwała się trąbka alarmowa w pobliskich koszarach jazdy, a wśród głębokiej ciszy rozległ się tętent w pełnym galopie przebiegającego po bruku ulicy konia. Tadeusz słuchał pod oknem, myślał, słuch wytężał; serce biło mu jak młotem, ale na ulicy żywej duszy nie było widać — Warszawa zdawała się zamarłą.

Naraz zdawało mu się, że bębny uderzyły werbel i zamilkły. Wtem na ulicy zawrzało coś, jakby pochód oddziału żołnierzy — w powietrzu ozwały się wrzaski, zdala huknął strzał, potem było ich coraz więcej, aż naraz salwa jakby całego batalionu wstrząsnęła powietrzem.

Podpadło mu, że w domach gaszono światła, zapierano pośpiesznie bramy, że lud zbiegał się na ulicy. Naraz posłyszał gwar, krzyki, wrzawę pochodzącą z tysiąca piersi, — rozległ się trzask łamanych drzwi, wypadających z zawiasów... buchnęły strzały... a po nich wrzask podobny do burzy i wycia.

Wkrótce potem rozległo się w kurytarzach więziennych gorączkowe nawoływanie i bieganie — zatrzeszczały drzwi pod naporem cisnących je ludzi — runęły w głąb celi, a po nich wpadło grono ludzi zbrojnych w siekiery, drągi, koły, w narzuconem ledwo ubraniu, bez czapek, pół boso z okrzykiem: »Moskale naszych mordują! do broni! do broni! — Panie oficerze stań na naszem czele i prowadź pod arsenał!«

Pan Tadeusz oszołomiony, odurzony tchnieniem świeżego powietrza, pochwyciwszy porzucony przed więzieniem karabin, z okrzykiem: »Za ojczyznę — za Polskę! na Moskala!« ruszył pod arsenał, a za nim rzesza zbrojnego rozgorączkowanego walką ludu.

. . . .

Z brzaskiem dnia 10. kwietnia 1831 r. wyruszyła na Wołyń dywizja gen. Prądzyńskiego, celem zaatakowania rozłożonego pod Iganiem korpusu Rosena. W przedniej straży szedł szwadron drugiego pułku ułanów kapitana Bogusławskiego, za nim reszta pułku, a dalej cała dywizja.

Podczas marszu donieśli wieśniacy, że położoną przed frontem wieś Domanicę zajmuje jazda rosyjska w sile 200—300 koni. Znajdujący się przy przedniej straży Prądzyński, rozkazał Michałowi Mycielskiemu poskoczyć z ułanami i oddział ten zniszczyć lub zabrać, dodając żartobliwie »Nieprzyjaciela tego ofiaruję pułkownikowi na śniadanie.«

»Przyjmuję generale« odparl Mycielski, salutując pałaszem, lecz zbliżywszy się do wsi spostrzegl natychmiast, że nie dwa

szwadrony, jak mniemano, lecz trzy pułki jazdy ma przed sobą. — Wysłał przeto adjutanta z raportem, że »Nieprzyjaciela nie tylko starczy na śniadanie, ale i na obiad«, poczem rozwinął pułk w linję bojową, aby rozpocząć szarżę, zanim przeciwnik zdąży ze wsi debuszować i pozycję w otwartem polu zająć.

Na dane hasło posunęła się linja ułanów stępa naprzód, łamiąc się na dwa oddziały, by przepuścić nadjeżdżającą galopem baterją porucznika Ekielskiego.

Wtem jadący obok pułkownika trębacz zadzwonił dwa krótkie oboje i wśród poważnej, uroczystej ciszy stanęli ułani, wyrównani jak na saskim placu, a z roskołysaną od wzburzonych uczuć piersią patrzą z uwagą na wodza, oczekując głosu trąbki, która jedyną tu jest teraz komendą.

To też pierwsze akordy sygnału na flankiery, poruszyły plutony skrzydłowe, które, jak wachlarze, rozwinęły się przed frontem, harcując i strzelając do przeciwnika.

W tej ostatniej przed starciem chwili przebiegając dowódzcy szeregi, zalecają żołnierzom odwagę i zimną krew — nakazują poprawić kulbaki, mocniej podpiąć czapki, skrócić cugle i stać — a kapitan Tadeusz Bogusławski napominał swój oddział, aby okazał się godnym swego długoletniego pułkownika Dwernickiego, który niedawno pod Stoczkiem z rezerwowymi tak świetne odniósł zwycięstwo.

I w chwili, gdy zwrócony do frontu zachęcał żołnierzy, wyskoczył z linji flankierów oficer huzarów, na krótki dystans wypalił do niego z pistoletu i jak strzała zawrócił ku swoim, zanim skrzydłowy podoficer Dachowicz, który na pierwszy rzut oka poznał w nim towarzysza pana Tadeusza z czasów Warszawskich, zdążył kapitana swem ciałem zasłonić.

Pan Tadeusz blady, krwią zbroczony, z szablą ku wrogom wzniesioną, skierował konia za front, bo już w polskich szeregach odzywał się sygnał atakowy, który zaraz cała orkiestra pułkowa pochwyciła.



J. Graczyński, Poznań.

Więc pochyliły się lance ułańskie w pól ucha końskiego, z miejsca ruszyły szwadrony galopem i z straszliwym okrzykiem: »hurra!« wpadły na nieprzyjaciela, który rozprysł się pod tym zuchowatym natarciem, jak rozpryskują się wzburzone fale morskie o kadłub okrętu.

Zmięszani z huzarami jak groch z kapustą, parli ułani całą siłą przeciwnika, który licząc na pomoc pułków odwodowych, rozpaczliwy stawiał opór. Położenie atakujących byłoby nader krytyczne, gdyby świeże pułki zdążyły wyjść z Domanic i zajętych

walką ułanów oskrzydlić. Aby temu zapobiedz, sformował obecny na polu walki gen. Kicki z orkiestry pułkowej i z nader licznego grona sztabowców i adjutantów szwadronik i stając z adjutantem Marcelim Żółtowskim na czele, z okrzykiem: »Teraz na nas kolej Panowie!« ruszył wielkim pędem prosto do wsi, przez którą pędząc on sam i jego towarzysze wołali na Rosyan: »z koni — z koni!«

Przywykłe do ślepej subordynacyi sołdaty, widząc przed sobą same szlify i akselbandy, wykonali polecenie i z koni pozsiadali. Reszta potraciła głowy i nie namyślając się długo zrobiła w lewo zwrot i zmykała co tchu ku Iganiom, zostawiając na placu kilkudziesięciu poległych i około 400 wziętych w niewolę.

Tymczasem 2-gi pułk ułanów, dumny z świetnego zwycięztwa nad w trójnasób silniejszym nieprzyjacielem, witał swego nowego pułkownika Mycielskiego głośnemi okrzykami radości, które potężniały skoro gen. Prądzyński porównał ich z bohaterami z pod Kirchholmu, Wiednia i Somosierry.

A to zwycięstwo okupione było stratą tylko 4 ułanów.

Z przeszytą piersią leżał na polu chwały Teodor Moszczeński z Wiatrowa, chłopiec pełen nadzieji, oddany przez matkę w opiekę bratu gen. Prądzyńskiemu. Wszedł do 2-iego pułku ułanów, by spełnić obowiązek względem ojczyzny. Pod Domanicami była pierwsza i ostatnia jego czynność wojenna. Przed chwilą szedł do boju z otuchą i odwagą, zachęcany przez wuja: »Spraw się dobrze chłopcze, a zostaniesz oficerem«.

Teraz nad zwłokami ukochanego siostrzeńca klęczał ze łzami w oczach gen. Pradzyński.

A tuż obok konał na ręku kaprala Dachowicza Tadeusz Bogusławski szepcąc ostatniem tchnieniem: »Po wojnie idź bracie do Warszawy — powiedz panience, że jej przebaczam — niech będzie szczęśliwa — że ginę za ojczyznę — ale nie mów z czyjej ręki«.

. . . .

W pierwszych dniach października zjawił się w domu pułkownikowej Dachowicz, by wypełnić ostatni rozkaz swego kapitana. Wiadomość o śmierci Tadeusza boleśnie dotknęła rozpaczającą nad losem kraju Janinę. Więc pobiegła do kościoła, by modlić się o spokój dla duszy przyjaciela, by błagać Ukrzyżowanego o litość nad krajem.

Po nabożeństwie zastała przed świątynią wojsko, oczekujące tryumfalnego wejścia huzarów grodzieńskich, pod wodzą pułkownika Gerstenzweiga. — Wkrótce zapełniły ulice dźwięki muzyki wojskowej i czerwień huzarów. Na czele pułku w otoczeniu adjutantów jechał wódz błyszczący złotem i orderami.

Na pierwszy rzut oka poznała w nim Janina pana Edwarda. Widok ten pozbawił ją przytomności, przedarła się przez kordon żołnierzy i z rozpaczliwym zarzutem: »Edwardzie — Pan tu! — Boże!« — zwróciła się do pułkownika, a posłyszawszy brutalną groźbę: »Paszoł won — sobaka!« zachwiała się, zbladła i bez życia padła w ramienia stojącego obok sługi kościelnego, który zdążył jeszcze pochwycić jęk konającej: »Tadeuszu, przebacz — ja niewinna — to on, zdrajca.«

W trzy dni potem w salonach nowego namiestnika, feldmarszałka Paszkiewicza chełpił się pułkownik Gerstenzweig, że nawet po wojnie tępi to buntownicze plemię, bo dziś właśnie chowano dziewczynę, którą on na drugi świat wyprawił. I zdziwił się niezmiernie, gdy prawdziwi rosyanie, słysząc te przechwałki, z pogardliwym uśmiechem od niego się odwracali.

Lucyan Osten-Sacken.

WSCHÓD

FRAGMENT.

Do Słońca.
Przyjdź, jak grom, czas,
boskie Słońce na złotym rydwanie,
przyjdź, niech się stanie,
wskrześ nas,
przyjdź! niech się stanie;
tyś pan,
na godów, na sprawowanie
nam dan...
Do pól, do lasów, do jezior,
i do wszystkiej ziemi...
O fioletowe roztocze,
o nieba wielkie przedproża,
krajane na podłóż skiby.
Ja mówię, że pierzchną mrocze,
ja mówię, że wstanie zorza,
ja mówię, że wstanie niby
olbrzymie jakieś widziadło,
Słońce!
O wód zwierciadło,
o jezior ciche pragłębie,
o lesie sosnowy na zrębie,
o sosny, sosny, siostrzyce!
o ziemio błękitna w oddali
a równa mi tętnem i życiem
i pulsów gorącem biciem
o ziemie! ziemie! ziemice! —
Ja mówię, że się zapali,
ja mówię, serce słoneczne,
ogniste, palące, wieczne,
Słońce!
A duch mój?
a duch przesmutny?
jak wiedźma na cmentarzysku
na ziemnej jakiejś mogile,
siadła ma dusza w bezsile,
w bezsile siadła, w udręce,
a szarpie ją ból okrutny
i kona i znowu żywie,
na dzikiem siadła urwisku
i głowę złożyła w ręce,
a żyjąc cierpi prawdziwie
a cierpiąc żywie i żywie.
Bo, chociaż, ja wierzę w świty
w rozbłysłe regle i szczyty,
w kwieciste, szerokie hale,
to jednak, jednak się, żalę
na nocy przydługie trwanie,
na smutne, rozpaczne, czekanie!...
Bo, wkoło mnie gruzy i ciemnie,
i jeno ta iskra gdzieś we mnie
krzepi — na smętne adwenty.
Za przyjściem ja czekam słonecznem
za Tym, który mocny, święty,
za Tym, komu Słońce wstanie,
o długie, długie czekanie
za światłem szczęsnem, a wiecznem!.
Bo, w koło mnie równie pustynne,
jak gdyby całun trumiany
dla życia, życia zasłany,
Jak gdyby miały iść tędy
nie szopka i nie kolędy,
ale pieśń smutna, ta gminna,
ale processya zmierzchowa,
ale na barkach nędzarzy
o cudnej, promiennej twarzy
zastygłe, umarłe pacholę
Życie! — z kwiatami na czole,
a pieśń się rozlega zdrowa...
Albo — jak gdyby z bezdeni
orszak przesuwał się cieni
ze smutkiem i dostojeństwem,
a każdy niósł w dłoniach obu
nadzieje swoje do grobu,
umarłe i niepowrotne,
jak urnę niósł z nabożeństwem
popioły, popioły lotne,



z boleścią i dostojeństwem.
Więc dusza moja z przestworza
na ziemskie idąc padoły
wie, że tu błyśnie zorza!
Więc dusza moja w kurhany
idąc w świat zapomniany,
zgliszcza ogląda popioły
I smuci się mrokiem i nocą
i krzepi wewnętrzną mocą...

. . . .

Przeczucia świata i duszy...
Ziemię wskroś
przeszył dreszcz,
coś
drga...
To skra.
Świtu wieszcz
mgła...
od dalekiego pasu
ciemniejącego lasu,
od drzew,
od pól na widnokresie
jakieś się echo niesie,
wiew!
Płyną szare tumany
poprzez kraj rozesłany
jak obrus niedzielny, świeży,
świat leży
w błękitno-popielatem rozwodnieniu
barw — w uśpieniu
czekając.

A dusza?
ciche złożyła dłonie
na ranne pacierze,
na ranne antyfony
mistyczne litanje —
i czeka na Świtu wstanie
i w słodkim uśmiechu tonie
jak rybak, gdy już wybrzeże
blisko i swoje strony
obaczy — jak żeglarz po burzy
i szeptem wtórzy
modlitwom mgieł, drganiom ziemi,
przeczuciom świata.

. . . .

Pola, lasy, jeziora
ścielą się korne w przestrzeni
jako olbrzymie ołtarze,
a Słońce sprawuje gody
i złote pełzną miraże
światła po skibach, po roli,
przez gaje i przez ogrody,
i rodzi się, rodzi powoli
wszystko, co piękne i żywe
i jakieś tchnienie szczęśliwe
płynie z słonecznych promieni
na pole, lasy, jeziora...

A duch mój?
jak w niebowzięty
modły odprawia dziękczynne.

Luty 1916. *Zbigniew Topór.*

AFORYZMY.

Mylą często wiedzę z mądrością. „Człowiek wielkiej wiedzy“, wymawia się z szacunkiem. A wiedza nabyta pospiesznie, niepołączona z wszystkiemi pierwiastkami umysłu i serca w zgodną całość, — „niepogłębiona“, — jest obosieczną bronią w ręku szaleńca. Mądrość jest właściwością zgodnych z sobą dusz. Dlatego między ludzmi niewykształconymi tak często napotyka się zdrowy sąd, — a między ludźmi z tak zwanem wykształceniem tyle nerwowych wartogłowów.

* * *

Znam osoby, które całe życie napróżno starały się zrobić porządek w szufladach biurka swego. Skarżyły się na nerwy. Nerwy? — Nie, to nieporządek w szufladzie biurka — i w głowie. —

* * *

Największymi wrogami mądrości są ludzie, którzy wszystko wiedzą. *Jarogniew Drwęski.*

* * *

Krwi morze przeleje ludzkość, nim się opamięta i pojmie, że tylko z miłości wyrość może drzewo żywota. *F. Gajewska, Turzno*

* * *

Gdyby dewizą naszego życia były słowa: „Miej serce i patrzaj w serce“, łatwiej byłoby nam nieść ulgę bliźniemu, bo sercem wrażliwem oderwalibyśmy jego troski, przykrości i bóle; a sercem rozumnem znaleźlibyśmy sposoby przyjścia mu z pomocą. *M. L.*

* * *

Jeśli naród chce się odrodzić, nie wolno mu głosić wzniosłych i górnych haseł, za któremi nie idą czyny...

Jadwiga Jaworowiczowa.

* * “

Tym w oddali.

Najsmutniejszym wyrazem jest chyba wyraz *zapomnieć*. A ileż tysięcy ludzi można obecnie zaliczać do *zapomnianych*. Nie dlatego, aby najbliżsi o nich nie pamiętali: przeciwnie, myślą i mówią o nich często, troszczą się o ich zdrowie, modlą się o szczęśliwy powrót. Ale inaczej się ma, gdy chodzi o skreślenie listu. Co mam pisać? Nic dobrego się tu nie dzieje, a on tam biedny ma dosyć zmartwienia! Wszak i tak wie, że go kocham! Albo, najczęściej: Nie mam czasu na pisanie.

Tylko, kto ocenia, co znaczy list z domu, potrafi zrozumieć, ile obojętności kryje się w takich słowach.

Obecnie życie stawia wielkie wymagania, i, przyznaję, mało ma się wolnych chwil, ale przecie można wiele powiedzieć w kilku słowach, a te kilka słów uszczęśliwi ojca, i ożywi jego serce radosnem przeświadczeniem, że dzieci o nim pamiętają... Gdzieś, na dalekiej straży, mąż będzie miał dowód, że myśli żony krążą koło niego. W okopach syn uprzytomni sobie, że czuwa nad nim miłość matki.

Ileż można zrobić kilku poruszeniami pióra, ile szrzęścia może przynieść zapisany arkusz papieru.

Gdybyśmy mogli zrozumieć jak myśli, tych naszych, zagnanych na wschód, czy zachód, ciągle ku nam dążą, jak tęsknią, jak pragną wieści, jak czekają cierpliwie i bez skargi, nie wątpią, że znaleźlibyśmy czas na częstsze pisanie.

To tak łatwo. Codzień rzucić na papier słów kilka — opowiedzieć wypadki ubiegłej doby, dodać kilka serdecznych wyrazów — to i wszystko! A temu w dali wiadomość stanie się jasnym promieniem.

Może list wasz będzie mu osłatnią radością, uśmiech na jego widok ostatnim uśmiechem. Więc spieszmy — póki czas....

A są jeszcze inni *zapomniani*.

Nie znamy ich, i nie wiąże nas z nimi żadne pokrewieństwo.

To ci biedni, oderwani od gniazd i rodziny, którzy przez gazety dają znać o sobie — i proszą obcych o pośrednictwo, by najbliższym przesłać jakąś wiadomość. I o nich pomyśleć warto, bo ci są może najbiedniejsi. Nie odmawiajmy im jałmużny serdecznego słowa — choć nieznajomi, zapytajmy o ich potrzeby, życzenia — albo poprostu napiszmy ciepłe słowo pociechy i ufności w lepszą przyszłość. Nie stracimy czasu, jeżeli na pooranej cierpieniem twarzy wywołamy choćby chwilowe zadowolenie, jeżeli rozgrzejemy serce, które smutek i ból oziębia.

Jest cudna legenda, że co sobotę sama Najświętsza Panna schodzi do czyśćca, by pocieszyć i wyswobodzić biedne dusze. W chwili, gdy przed Nią otwierają niebieskie wrota, słońce rzuca jej pod stopy promienie, aby po nich, jak po stałym moście zstąpić mogła w otchłanie. Wtedy na całym świecie jasno się robi, i stwór wszelaki się raduje aktem boskiej łaski i zlitowania. Przecie wszyscy wiemy, w każdą sobotę, słońce choć na chwilę świeci.

Weźmy sobie w ciężkich czasach za zasadę, być dla tych w dali, swoich lub blizkich sobotnim promieniem, co świeci i grzeje i jest zwiastunem dobrej doli. *W. Mukułowska.*

Nasza Dola...

Poprzez mogiły i kurchany,
Poprzez zwalone, ludne chaty,
Przez bór tajemny, połamany,
Przez łąk zoranych czarne szmaty —
Przez zakrwawione ziem odłogi,
Poprzez bezżniwne puste pola,
Przez zapomniane dawno drogi
Wlecze się biedna polska Dola...
— Jej domem — niegdyś kwietne łany —
I wiatr, co po nich głucho płacze;
A bratem — żołnierz zabłąkany,
A dziećmi... dziećmi jej tułacze!
A matką jej — ta krwawa rola
A jej ojczymem — obce bogi...

. . . .

I przez rozstajne, smutne drogi
Tuła się biedna, polska Dola...

Marja Osten.

Także społeczna praca!

»Społeczna praca!« Oto hasło obecnie powszechnie uznawane i pochłaniające nawet takich, którzy dawniej po za własną korzyścią i przyjemnością ograniczali na ciasne chyba tylko kółko swoją troskę i zabiegliwość. Ciężkie warunki obecne każdego prawie nauczyły, że trzeba niejedno poświęcić dla drugich, że solidarność jest warunkiem przetrwania czasów próby. W takiej chwili czyż godzi się głos zabierać w sprawie tak na pozór dalekiej od społecznej pracy, jak zbiory muzealne, ich utrzymanie i dalszy rozwój?

Z krajów, gdzie dobrze rozumieją znaczenie takich zbiorów dla społeczeństwa, bierzmy przykład, choćby od nam najbliższych, a więc od Niemców i z monarchii austro-węgierskiej, włącznie Galicyi. W Szwajcaryi, która więcej od innych krajów, niewmięszanych wprost we wojnę (neutralnych) czyni dla ofiar wojny po za jej granicami się toczącej, doszła nas kilka tygodni temu wiadomość o uroczystości otwarcia nowego gmachu muzealnego ze szczególnem uwzględnieniem zbiorów przyrodniczych, w Winterthur, nie wielkiem mieście kantonu zurychskiego a przecież nie brak tam podobnych muzeów w 7 uniwersytetach i w stolicach kantonalnych; jest ich stosunkowo więcej, jak w innych krajach, najpotężniejszych.

Nasuwa się pytanie, czemu w krajach polskich, prócz w Galicyi, która od kilkudziesięciu lat w wyjątkowo pomyślnych w porównaniu do innych dzielnic znalazła się warunkach, nie widzimy nic podobnego? Że w zaborze rosyjskim nie ma śladu takich zbiorów muzealnych nawet w takich miastach, gdzie dawniej istniały akademie i wszechnice (Dynaburg, Wilno, Zamość), a w Warszawie dopiero od niezbyt dawna widać usilne starania o wskrzeszenie nowych takich instytucyi — to łatwo zrozumie każden, kto zna tamtejsze stosunki dawniejsze i ruch, jaki się tam począł od blisko pół wieku, a zwłaszcza od lat dziesięciu.

Inaczej działo się w zaborze pruskim. I tu istniały dawne wyższe szkoły jezuickie w Poznaniu, Bydgoszczy, Toruniu, że wspomnę tylko o większych, ale śladu zbiorów przyrodniczych po nich nie znaleziono.

W gimnazyum św. Maryi Magdaleny pozostały wprawdzie niektóre instrumenta do wykładów fizyki z czasów ks. Józefa Rogalińskiego, podczas gdy astronomiczne z rozkazu Kołłątaja dostały się do Krakowskiego obserwatoryum; ale gdzie się podziały te, co były w Poznaniu w XVIII w., dociec nie mogłem.

Nawet późniejsze próby gromadzenia okazów takich, przeważnie krajowych, rozwiały się w niedługim czasie w braku opieki



Wł. Marcinkowski.

nad niemi. Gromadzono je już np. w Gostyńskim kasynie. Gdy się zanosiło na utworzenie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, jemu je stamtąd przekazano, tem więcej, że właśnie pierwsze lata istnienia tegoż Towarzystwa były latami największego rozkwitu Wydziału przyrodniczego, do którego należeli jeszcze wówczas i nauczyciele szkół średnich i ziemianie. Od r. 1856 wychodziło tu już czasopismo w Poznaniu, przyrodnictwu poświęcone p. t. »Przyroda i Przemysł«, jedyne wówczas w Polsce. Zostało ono oczywiście r. 1858 organem Wydziału przyrodniczego. Redaktorem jego był Julian Zaborowski. Po jego śmierci atoli upadało tak, że wydawca je zawiesił. Organizatorem zbiorów przyrodniczych był Felicyan Sypniewski z Piotrowa, pierwszy prezes Wydziału przyrodniczego, który atoli wkrótce urząd złożył. Lecz i potem jeszcze pamiętam zbiory przyrodnicze dobrze ułożone w parterowych pokojach biblioteki Raczyńskich, ustąpionych Towarzystwu przez syna założyciela tejże. Po wyrzuceniu ztamtąd Towarzystwa przez miasto, po śmierci tegoż, musiały czekać zbiory te w skrzyniach na strychu w Bazarze, aż do przeniesienia ich do fundowanego przez S. hr. Mielżyńskiego gmachu na Młyńskiej ulicy 26, ale nie doczekały się prędko uporządkowania z powodu braku sił, któreby tem zadaniem zająć się mogły i braku odpowiedniego umieszczenia. Brakło

osobnego kustosza dla nich, a zmieniający się z kolei przewodniczący Wydziału przyrodniczego nie mieli czasu albo potrzebnej znajomości rzeczy, aby sami się tem zajmować.

Lokal na te zbiory przeznaczony był wprawdzie suchy, ale ciasny i ciemny: 3 pokoiki na prawo od galeryi obrazów piętra oraz sień wiodąca do osobnych bocznych wschodów. Tam to, gdy się zanosiło na zjazd lekarzy i przyrodników polskich (1884), starano się nadto pomieścić i wystawę okazów przyrody krajowej i ich zastosowania technicznego. Oczywiście wypadła ona mizernie. Pierwszymi, którzy w tym lokalu pomagali nowo przyjętemu jedynemu kustoszowi muzealnemu, byli Dr. Roman Maj i kandydat filozofii: Józef Weber. A pracy było teraz więcej zwłaszcza, że odnaleziono na strychu muzealnym bogaty zbiór mineralogiczny, pochodzący jeszcze od Wernera, prof. z Freibergu (1750—1817) twórcy mineralogii i geologii w Niemczech, a ofiarowanego Towarzystwu przez Józefa hr. Łubieńskiego z Pudliszek i całkiem zapomnianego. Zbiór jako tako uporządkowano.

Mnożenie się zbiorów było właściwym powodem, dla czego niżej podpisany zabrał się do pracy muzealnej (dla zbiorów przyrodniczych), choć nie tail sobie trudności, na jakie się narażał, nie posiadając odpowiedniego fachowego wykształcenia. Z początku chodziło mu o to tylko, by nie dać upaść rozpoczętemu przed dwudziestu kiku laty dziełu, ale ratować, co się da. Tak więc nagromadził w tym ciemnym i ciasnym lokalu to, co się odnalazło w Muzem, to co się dało odnaleźć w zbiorach rozwiązanej Wyższej Szkoły Rolniczej w Żabikowie oraz to, co po śmierci męża ofiarowały wdowa i dzieci śp. Felicyana Sypniewskiego z Piotrowa. Wprawdzie nie jeden skarb poszedł za jego jeszcze życia do uniwersytetu w Krakowie lub do Muzeum Dzieduszyckich we Lwowie, ale zawsze wartość zbiorów w Piotrowie była większą, aniżeli te, co pozostały były w Żabikowie. — Reszty dokonała ofiarność społeczeństwa wielkopolskiego, które gotowe było nadesłać dary, skoro tylko ktoś się znalazł, który umiał je ocenić.

I ziściło się przysłowie: Ziarnko do ziarnka a zbierze się miarka. Zbiory tak rosły, że nietylko i sionka na II. piętrze ale i schody a nawet sień frontowa musiały niejedno pomieścić. Wnet było potrzeba osobnego pokoju dla zbiorów etymologicznych po śp. generale O. Radoszkowskim, zbiorów tak wielkiej wartości, że lepiej je było wymienić z Akademią Umiejętności w Krakowie na inne, czysto krajowe dla nas odpowiedniejsze. — Ale mimo to miejsca brakło! Wreszcie zajaśniała nadzieja uzyskania lepszego pomieszczenia w nowym gmachu Tow. Przyj. Nauk, ale i ta zawiodła. W suterenach na nie przeznaczonych znalazło się miejsca więcej, było ogrzewanie centralne i elektryczne światło, ale trzeba było walczyć z wilgocią i pyłem. — Obecnie wreszcie i miejsca zabrakło. Zarząd Towarzystwa postanowił więc w frontowym domu ułatwić umieszczenie przynajmniej części tych zbiorów, które najbardziej wilgoci nie znoszą.

Druga trudność — to brak opieki nad tymi zbiorami na wypadek, gdyby jednostka, która się dotąd zajmowała całością ich, miała z jakiego powodu ustąpić.

Wobec rozrostu pojedyńczych działów w tych zbiorach koniecznym okazał się powierzenie pracy w nich osobnym siłom i to młodym pomocniczym na razie, a potem samodzielnym.

Trudno się spodziewać, żeby się wśród ludzi w innym fachu pracujących znalazł się po ustąpieniu tego, co 30 lat temi zbiorami zajmował, ktoś, któryby go zastąpił i to w chwili, gdy one tak bardzo urosły i domagają się i lepszego umieszczenia, co jest od Zarządu przyrzeczonem i nie jednej, ale kilku sił specyalnie wyuczonych do opanowania i wyzyskania naukowego objętych w tych zbiorach skarbów?

Kto gorąco pragnie czegoś, co nie jest niemożliwem do osiągnięcia, a ma dobro ogółu na celu, ten musi się spodziewać, że, co mu się nie udało dotąd, to uda się może jeszcze przed jego śmiercią albo zniedołężnieniem. Sztukał on i pukał w różne strony, próbował niejednokrotnie tego lub owego sposobu i doszedł do przekonania, że nie ma innego, jak odezwać się *do żeńskiej młodzieży*, która skończyła lub kończy wyższe szkoły (gimnazyum lub lyceum) i rwie się do pracy pożytecznej i patryotycznej, choć cichej i mozolnej. Że potrzeba miłości do kraju na to, aby się czynem starać, by poznanie tego, co ziemia nasza rodzi i w sobie kryje, nie było z naszej winy monopolem obcych, ale zdobywane było i polskim trudem, by nie ustępować w tym względzie innym narodom i brać przykład z tego, co widzimy, że osięgają rodacy nasi nad Wisłą i Pełtwią, to chyba łatwo zrozumie, kto patrzeć umie w przyszłość. Może kogoś od takiej ofiary z siebie powstrzymuje obawa, żeby przez poświęcenie się naukom przyrodniczym zachwiać się może jego wiara. Obawa taka jest bezpodstawną u osoby gotowej pracować nie dla chleba tylko i sławy, ale dla celu wyższego. Znajomość nauki przyrodniczej jednej specyalna, a innych ogólna, przydać się może każdej z pań młodych, mianowicie tych, co mają fundusze na uczenie się i na trzymanie się przy tej pracy jako asystenki lub kierowniczki odnośnego działu przyrodniczego. Kobiety w ogólności do podobnej pracy nadają się doskonale. Przekonałem się o tem nietylko za granicą, ale i w kraju, mianowicie w Warszawie. Wszak i do zbiorów naszych poznańskich rozwoju przyczyniły się kobiety. Eliza Orzeszkowa i Marya z Skirmuntów Twardowska, obie z Litwy, zapisując nam swe kolekcye florystyczne. Kobiety odznaczają się zmysłem morfologicznym w porównaniu do mężczyzn, jeżeli tylko mają zdrowe oczy. Na konieczność zachęcania kobiet wielkopolskich jako najodpowiedniejszych do zajmowania się naszymi zbiorami przyrodniczymi zwracały moją uwagę dwie wyżej wspomniane zasłużone społecznie niewiasty niepospolite. Od dawna podzielałem i objawiałem to zdanie prywatnie. Jeżeli to czynię teraz publicznie, czynię to z tego powodu, że czas nagli a nadto chwila obecna sprzyja. Wskutek wojny, od przeszło półtora roku się toczącej, zabrakło mężczyzn młodych i w sile wieku a w niejednym już zawodzie żona lub córka zastępować musi tego, który powołanym został do służby. Szanse też wyjścia za mąż dla niejednej z pań zmniejszyły się już i zmniejszą jeszcze. — Zamiast zajmowania się tych, co rodzinnego ogniska nie znajdą łatwo, sztuką i literaturą, zamiast szukania zajęcia u obcych, czyż nie lepiej poświęcić kilka lat uniwersyteckim studyom, aby później módz oddawać usługi społeczeństwu naszemu na polu u nas zaniedbanym? Zadowolenie, rosnące do późnej starości z oboru tego zajęcia, znalazłyby niezawodnie; oczywiście, że pragnąłbym z każdą z tych pań, którąby moja niniejsza odezwa przekonała, a przynajmniej zachęciła, zanim się zdecyduje na takie poświęcenie się muzealnej pracy, a więc przyrodniczym studyom, wprzód się rozmówić, aby poznać, w jakim kierunku mogłaby najwięcej sama się rozwinąć i następnie z największym pożytkiem tu pracować. Innych zdolności potrzeba do studyów nad krystalografią i petrografią, innych do botaniki i florystyki itd. — Choćby ich kilka na raz się zgłosiło, potrafiłbym każdej nieco odmienne dać wskazówki, zwłaszcza na później, mając na względzie i ich własne aspiracye a i potrzebę naszych zbiorów.

O to, by zabrakło miejsca dla tych zbiorów a więc i dla kilku pracowniczek, nie będzie mowy w przyszłości przy dobrej woli obecnego zarządu T. P. N. — Sądzę, że i inne instytucye nasze potrzeby popierania tego zamiaru zrozumieją i uznają. Zniwo jest niemałe, byleby pracowników nie zabrakło. — Przy pomocy polskich pracowniczek pokazać możemy, że skarby przez pokolenia nagromadzone, w naszych zbiorach nie pójdą na marne. *Dr. F. Chłapowski.*



Czy ty pamiętasz?

Czy ty pamiętasz minione chwile,
Naszych nadziei skrzydła motyle,
Naszego szczęścia czar nieujęty,
I naszych sporów przekorne wstręty?

Czy ty pamiętasz, jak w ducha męce
Ku tobiem tęskne wyciągał ręce,
I przeczuć moich głosy złowieszcze?
— Ach, miłość była nam walką jeszcze!

Czy ty pamiętasz ten ból, co kruszy
Najmilsze złudy zranionej duszy,
I słońc zaćmienia na naszem niebie,
I oczy moje, wpatrzone w ciebie?

I moich uczuć kwiat w poniewierce,
I gniew ten głuchy, co rwał mi serce —
Naszych nadziei umarłych cmentarz —
Rozstania mękę: czy ty pamiętasz?

I. K. Szuman.

* * *

O milcz, — niech oczy twoje pytające
Patrzą mi w duszę, i płoną w niej jasno.
Nim burze zmilkną, słońca w niej zagasną,
Ty w duszy mojej patrz światy płonące.

* * *

O milcz, — niech słowa nie płoszą anioła,
Co w chwili cudu w białej wschodzi tęczy.
W oczach twych jasność śnieżnych prze-
łęczy, —
Słyszysz? — Z za świata jakiś głos już
woła...

Jarogniew Drwęski.

* * *

Pachnie rola rozorana,
Rzućmy w nią przyszłości siew!
Chociaż sączy krwawa rana,
Lepszej doli nućmy śpiew!
Wierzmy w lata żyzny plon,
Bo choć wiele zniszczył zgon,
Rdzeń pozostał zawsze silny,
Duch narodu nieomylny!

Jerzymir.



MOTYL.

OPOWIADANIE.

Pogasiła światła i zajrzała do wnuka. Spał już. Trochę przykro jej było, że z nim nie pogwarzy, trochę miała żalu do niego o ten sen spokojny, a trochę bała się szeregu pustych, księżycem tylko oświetlonych pokoi, w których cicho i uroczyście było jak w kościele.

Rozejrzała się trwożnie. Sama była w domu ze służbą i małem dzieckiem, — syn jej z młodą żoną pojechał na bal — i trudno jej było cofnąć się za próg uśpionego pokoiku. Poczuła się samotną i nikomu niepotrzebną. Pierwszy raz w życiu. Pierwszy raz poczuła starość, i to tak żywo, jakby ją dotknęła. Czuła, jakby koścista ręka objęła jej serce, i coraz silniej je obejmowała, i coraz więcej bolał ją ten uścisk.

Jeszcze raz popatrzyła na dziecko i odważnie wróciła do salonu. Ustawiła prosto krzesło pod ścianą, złożyła szal, poukładała książki i pisma na stole, a gdy miała zamykać fortepian, przyszło jej na myśl pograć. Zaraz jej będzie raźniej.

Gdy Pani Konstancya siadała do fortepianu, zapominali ludzie, że nie lubią jej wielkiej oszczędności i pracowitości i ciemnych jej oczu, mądrych, ognistych, a surowych. Cichły wtedy rozmowy pań, panowie rzucali karty i plotki i słuchali nabożnie jak dzieci bajek, lub chłopi kazania w kościele. Nie zawsze rozumiejąc, słuchali. Jak śpiewu. Bo cudowna opowieść szła pomiędzy nich, kiedy grała Szopena. Wspomnienia, wizye przyszłości, coś co było, coś co będzie, wielkie, mocne, wspaniałe, a szerokie od morza do morza, śniło się ludziom. Dumali starzy. A młodzi? Młodym śmiało się życie jak bujny łan zboża w słońcu. Otwierały im się ramiona do nieznanego kochania; zieleniły im się wieńce bohaterstwa w oddali; dźwigała się w nich młoda siła i wołała czynu, a w piersiach biło jak dzwon.

Pani Konstancya cicho sobie gra. Prosta piosenka rozlega się po pokojach i sączy się we wszystkie szparki i kąty sennego domu. Z piosenki powstańczej rodzi się pieśń, a z pie-

śni fantazya i rośnie coraz bujniejsza i coraz bogatsza, jak drzewo strzeliste.

Pani Konstancya idzie w kraj muzyki. Coraz dalej idzie i dalej, i dziwi się cudom po drodze, i nie wie, dokąd zajdzie, ale pełna jest radości i oczekiwania. Światło księżyca płynie do salonu. Świetlista, szeroka droga wiedzie na ganek, w ogród, w aleję. Ogromne, białe pole rozlewa się jak jezioro przed dworem i sięga daleko pod bór.

Pani Konstancya podnosi głowę, patrzy na tę jasność i gra dalej. Wiosenne allegretta idą ku niej w ten wieczór styczniowy. Melodye jak kwiaty rosną jej pod palcami. Wiosna kwitnie wkoło niej, jak na tej leśnej łące nad rzeką. Łąka jasna, olchy ciemne, a w słońcu nad drzewami, nad kwiatami. tańczą motyle. Więc idą melodye zwiewne, lekkie jasne, jak to światło księżyca, jak tamte motyle. Bo Pani Konstancya grając, myśli o motylach. Nie śmiejcie się, gdy starzy myślą o motylach! Tak; myśli o tym wielkim, czarnym, co aksamitnem skrzydełkiem pieścił białe ramię jej synowej, ubranej na dzisiejszy bal. I o tym, co kornie przypadał jej do nóg i czepiał się brzegu jej sukni. I o tym małym, co z jasnych jej włosów, z poza różowego uszka się wychylał. I o tych, które dawno, dawno temu, zdobiły ją samą.

Tak myśli o tem, że zapomniała o wszystkiem na świecie. O tej czarnej koronie na głowie i o swych siwych włosach; o mężu, o dzieciach i wnukach; o latach pracy i trudu; o siewach, sprzętach, kupnach i sprzedażach; o targach i kontraktach, o przykrościach i upokorzeniach; o wszystkiem, co było treścią i trudem i plonem jej wdowiego życia, — zapomniała. A myślała? Myślała o motylach. Nie śmiejcie się, gdy starzy myślą o motylach!

Widzi ją, tę drugą siebie. Znów lat dwadzieścia, znów różowa suknia, znów motyl różowy z czarnemi skrzydłami. W jasnych włosach, u sukni, u ramion czarne motyle. Zamigotały skrzydełkami, które mienią się jak pawie pióra i drogie kamienie zerwały się z różowej postaci, i krążą nad siwą głową starej kobiety. A w ślad za niemi, z majowych dni, co przeszły nad polem i łąką jej ziemi, przyleciały inne motyle, białe, żółte i błękitne i fruwają dokoła niej. Tyle ich tam, że jej ciemno w oczach. Gdy ją który, w przelocie, muśnie w czoło, w rękę lub usta, wtedy ona zamyka oczy i uśmiecha się radośnie.

I wciąż gra.

* * *

W tem urwała i nadsłuchuje. Słychać dzwonki sanek. To kulig jedzie. Jadą. Kto jedzie, kto? Widzi oknem konie, sanki, znajome siwki w bogatej uprzęży. A za niemi drugie, trzecie i dziesiąte. Długi szereg sunie od boru z dzwonkami, pochodniami, gwarem, śmiechem i z ludźmi, postrojonymi na maskaradę. Skąd oni się tu wzięli?

Dawno ich już niema, oj dawno! Ci sprzedali ziemię, ci umarli, ci wynieśli się. I tych już niema, i tamtych niema! Jednak tu są, jak przed laty. Widma to, upiory?

Panią Konstancyą ogarnia lęk, zdumienie. Rozgląda się po pokojach, puste są. Ale nie! Ktoś stoi, tam daleko, tam na progu ostatniego pokoju. Stoi ciemny, a zewsząd jasnością oblany. Nie widmo, nie upiór, żywy człowiek. Błyszczy kask i pałasz, tam stoi ułan polski, jej narzeczony. Wstała mu na spotkanie. Idzie jasna i młoda w swej różowej sukience. Idzie strojna, cicha, uroczysta, jakby szła do ołtarza przez kościół. Idą naprzeciw siebie przez długie pokoje, wolno, cicho, uroczyście, po dróżce księżycowej.

Podnieśli oczy. Strop wielkiej sali zajaśniał nad nimi. Tłum strojny, w maskach, przelewa się dokoła. Powstali z portretów i ruszyli na maskaradę hetmani i wojewodowie, królowe i wojewodziny, krakowianki i krakusy, ukrainki i mołojce i w złotych

czepcach mieszczki cudne ze starych miast. A z gór i lasów, z jezior i zamczysk wyszły dyabliki i chochliki, świtezianki, dziwożony i rusałki i zleciały w ten dom. Wszyscy oni idą, suną w polonezie, i mienią się wstęgą, litą złotem i kwiatami. Tu z pod maski błysną oczy dowcipem, świeże usta rozchyli uśmiech zagadkowy. Tam padnie żart, jak strzała. Pachną kwiaty, błyszczą kamienie, chwieją się pióra. To maskarada, cudna maskarada, najpiękniejszy bal!

— Patrz, Ulan polski! Cóż powstanie? szepce ktoś.

— Będzie. Pójdziemy im na pomoc.

— Na marne!

— Żadna siła ludzka nas nie powstrzyma. Gdy przyjdzie czas, polecim w ogień.

— Jeśli w ogień, to i Motyl poleci z Ułanem, odzywa się z poza mirtu kwitnącego, drzący głos dziewczęcy.

— Poleci mój motyl cudny? Poleci ze mną w ogień?

Grają mazura. Lecą młodzi, pędzą aż grzmi. Pędzą jak tabun stepowych źrebców, hardzi, huczni, a karni, w rytmie muzyki szerokiej, hulaszczej, a zwycięskiej. Świat zaginął dla nich dwojga. Fala radości zapiera jej oddech, a krew młoda woła: hej!



J. Graczyński, Poznań.

Czemu tak ciemno? Czy nadchodzi nieszczęście? Już? Ułan i Mazepa, narzeczony jej i brat patrzą sobie w oczy z taką nienawiścią, jak gdyby śmierć sobie przysięgali. Ciężka cisza. Wtem, »tchórz!« syknął któryś. Padło słowo jak piorun. Ułańska rękawica prysnęła w twarz Mazepie.

Ludzie nikną. A wśród pustej sali, stoi różowa panienka, z białą jak opłatek twarzą, patrzy na jarzące świece, na posadzkę, która jak staw bursztynowy je odbija, i nic nie rozumie.. Wachlarz zacisnęła w ręku, i nic nie rozumie.

Czy to maskarada, najpiękniejszy bal?

* * *

Z krzykiem »brata mi zabił!« zbudziła się Pani Konstancya ze snu.

Przerażona własnym głosem rozgląda się trwożnie i drzy na całem ciele. Zimno, a do jej pokoju daleko. Trzeba iść przez cały dom, długi, pusty i ciemny. Zostawili ją starą, samą zupełnie. Już im niepotrzebna widocznie. Ciężki to był sen. Tak ciężki jak rzeczywistość.

»Nie on był winien pojedynku, nie on, powtarza. Los był winien.«

Czuje, że drga jej w ręku serce, które odtrąciła.

Żal nią targa. Przy mężu, przy dzieciach, tęskniła. Do ziemi, za którą tamten życie oddał, przypadła siłą rozpaczy, byle zapomnieć. Nie zapomniała. Cień powstańca chodził za nią. Był w polu przy oraczach i żniwiarzach, był w domu dniem i nocą, ukazywał się we śnie, jak dziś, w ten wieczór styczniowy, w rocznicę.

Pani Konstancya płacze. Mężne jej serce rozpiera płacz, jakim jeszcze nie płakała nigdy. Znękana, zamyka oczy. Jest senna, drzy z zimna. Zaraz pójdzie, zaraz. Tylko serce się uspokoi. Gdyby okno otworzyć i odetchnąć? Ale do okna daleko. Tak jej ciężko, jakgdyby troska całego świata zawisła jej u szyi. Zaraz pójdzie. Czemu jej trudno wstać? Już zostanie w tem krześle. Głowę opiera na poręczy i zamyka oczy. Tak lepiej. Może znów przyjdzie?

Równo i mocno, niby w takt wojennego marszu, uderza jej serce. Potężna muzyka! Drzy od niej cała.

Gorąca woń lasu, wyprażonego w słońcu, uderza jej do głowy. Łuna oblewa jej czoło, bije na nią upał. Otwiera oczy, i patrzy prosto w twarz czerwonego słońca. Spokojnie goreją wśród lasu wielkie ognie zachodu. Siwe skały, jak straszydła wyrastają pośród drzew. To lasy pomiędzy Olkuszem a Ojcowem. Poszła go szukać i zabłąkała się. Znajdzie go, żywym czy umarłym go znajdzie.

»Dalej bracia, do broni«, śpiewają niedaleko.

»Bo już Moskal nas goni«, śpiewają coraz bliżej.

To gromada studentów i włościan idzie wesoło na kule. Już, już, ze świstem leci jedna, druga i dziesiąta. Rozkaz, klątwy, jęki rannych. Wre potyczka. A ze szczytu pagórka pędzi gajem żołnierz z dobytym pałaszem i woła: Za mną! Naprzód!

Wystrzał, obłok dymu, i pada ranny.

Tam, pod brzozą leży dziewczyna, zrywa się na pomoc. Zrywa się, biegnąć chce, ale nie może. Rzuca się, choć ręce do niego wyciągnie, nie może. Choć zawoła, z omdlenia choć głosem go rozbudzi, nie może. Klątwą, czy karą boską oniemiała, w ziemię wrośnięta, z rękoma spętanemi, nic mu pomódz nie może. Patrzeć tylko musi, jak on konać będzie, tam pod brzozą, niedaleko. A rana głęboka, a krew uchodzi, i życie ucieka. W męce widzi tę jasną łzę konania na twarzy, i korale krwi czerwonej na mchu i paproci.

Więc całą moc duszy zbiera w modlitwę:

— Weź mi krew i życie, a zdejmij klątwę ze mnie, Boże!

— Weź mi krew i życie, a daj mi z nim umrzeć, Boże zmiłowania!

I lituje się Bóg. Bo oto przy nim klęczy, chustą ranę mu owija, i krew tamuje.

Żołnierz dźwignął głowę:

— Chodź ze mną!

I pochyliła się nad nim w miłości i objęli się ramionami. Na piersi ułożyła mu głowę do wiecznego snu, a ustami czerwonemi całowała usta blade.

I trwali tak w szczęściu kochania. Kiedy przyszła śmierć, i kosą dotknęła białego ramienia dziewczyny, popłynęła krew ich jednym strumieniem, i połączył ich ostatni uścisk, na wieczność. W te zaślubiny, niebo złote uśmiechało się do nich i brzoza szeptała. Kukułka wołała nad drzewami, kwiaty poziomek dyszały im około głów, i dzień letni kończył się.

A w rumieńcach zachodu, w wielkiej chwale i ciszy przedwieczornej, wieczność płynęła ku nim.

I kukułka umilkła, i brzoza umilkła, i cały gaj wstrzymał oddech, aby słyszeć, co mówili w konaniu.

* * *

Dniało już, gdy młodzi z balu wrócili do domu.

W krześle z wysoką poręczą, siedziała Pani Konstancya przy fortepianie. Na ustach, na wielkich łukach brwi, na szerokich powiekach zamkniętych, osiadł spokój niezmącony. W twarzy jej zastygnął zachwyt.

Odeszła w kraj młodości. *Zofja Zielewiczówna.*



M. Wywiórski.



Baśń.

I.

Na skał zrębie rośnie kwiat,
Rośnie kwiat, cudu kwiat....
Kto cudowny kwiat zdobędzie,
Nieprzebrany skarb posiędzie,
Gdzież jest rycerz, gdzież
jest chwat,
Co rwać pójdzie kwiat, cudu
kwiat?

„Ja tam pójdę, spełnię trud,
Spełnię trud, krwawy trud;
Ja do walki i do boju
Gotów jestem i do znoju;
Lud mnie sławić będzie, lud,
Za ten sławić trud, dobry lud,“

„„Nie chodź, śmiałkom grozi śmierć,
Śmiałkom śmierć, pewna śmierć;
Skały strome, niezdobyte,
Dołem falą wód podmyte.
Niezdobyta skalna perć.
Niezdobyta perć, pewna śmierć.““

II.

Z kwiatem w dłoni
Od gór goni
Junak, wieść zwycięstwa głosi.
Góry chórem,
Lasy wtórem
Grzmią i wieść się w dal roznosi.

Już w dolinie...
Druh go minie:
„W ręku trzymam kwiat niekłamnie;
Dla was wszystkich,
Sercu bliskich,
Kwiat jest, a nie tylko dla mnie.“

„„Nic nie widzę!
O! jak szydzę
Z chłystka, co się zbawcą mieni,
Ludu zbawcą,
Szczęścia dawcą,
Który w radość łzy odmieni.““

A za druhem
Wnet obuchem
Zaprzeczenia godzą inni.
Godzą w serce,
O bluźnierce!
Jakiejż zbrodni wyście winni!

III.

Grają wielkie, małe dzwony....
Któż to dzisiaj pogrzebiony?
Junak, rycerz, dawca cudu,
Chłystek, kłamca w oczach ludu...
O bluźnierce, o bluźnierce!

Grają wielkie, małe dzwony....
Któż dziś czczony i wielbiony?
Komu kwiat na śmierci łożu
Purpurową zakwitł zorzą...
O ty biedne, biedne serce!

K. F. Wize.

DOLA.

Poprzez szare, mgłą okryte pola,
Lasy z liści zielonych odarte,
Idzie wolno smutna moja dola,
Jakby wszystko rzuciwszy na kartę
Losów, idzie bez troski u czoła,
Idzie, za nią nikt „wrócić się“ nie woła.

Idzie śnieżną pędzona zawieją,
Wiatr coś śpiewa nad uchem i nuci
o tym życiu, co zwodzi nadzieją,
I o szczęściu, co więcej nie wróci.
Wtedy szybciej przed siebie ucieka
Smutna dola kobiety-człowieka.

Przez ugory ciernistych dróg, głazy,
Idzie wolno mego życia dola,
Idzie w przyszłe wpatrzona obrazy,
A u stóp jej czarna smutków rola,
Pustka wkoło i zwątpień bezdroże,
Lecz kto dolę zatrzymać swą może?

Idzie, drogi przeznaczeń swych czyta,
Błądzi przed się oczyma smutnemi,
Czegoś szuka i o coś się pyta,
Ale znaleść nie może na ziemi,
I nie może doczekać tych godzin,
Które szczęścia są chwilą narodzin.

Leonia Grabska.



Marya Lisiecka.

PIEŚŃ ZIEMI.

Dreszcz przenikliwy dźwignął niedobitka, wnet jednak ciało, omdlałe bólem, legło na gęsto zroszonej krwią ziemi. Głowa tylko jakoś sztywno sterczała, a oczy jeszcze nienasycone w patrzeniu, świeciły w mroku.

Przyciemną smugą rozściełało się pole rozmiękłe od deszczu, splamione krwią skrzepłą. Tu i owdzie chwiały się wątłe badyle, jakby w żałości nad oną ziemią, zasianą zwłokami roztarganych ciał.

Ciekawie wodził po nich wzrokiem człowiek, żali nie ujrzy w nich resztki życia. Słuch wytężał, by ułowić choćby jęk najsłabszy. Oniemiałe przecież stało tychoszowskie pole, świecąc jeno w ciszy kałużami błota. Zewsząd wiało pustką, sieroctwem i śmiercią.

Zjeżyły się włosy na głowie żołnierza, a potu kropelki, bólem dobyte, zraszały czoło. Parzyła rana ciekąca krwią, płonął mózg umęczony od nawału myśli. Rozpacz nieopisana padła mu na duszę i rwała serce, już słabo bijące.

Dobył resztki sił człowiek i wzrok puścił na zwiady. Zamajaczyły mu resztki ciał rozniesionych kulami, zamajaczyły mu resztki broni uciekającego żołnierstwa.

Tu i tam bieliła się twarz zastygła z wlepionemi w niebo oczami, inna znowu, rozdarta śmiechem potwornym straszyła, wzrok. Więc oczy zakrył rękami i zwalił się całem ciałem na ziemię, do głębi rozmokłą. Szloch niewstrzymany rozsadził mu piersi, na usta zsiniałe wybiegał jęk.

— Za co tyle ofiar — za co tyle męki?

I tak jak jego towarzysze martwi, wlepił oczy w niebo, jakby oczekiwał ztamtąd odpowiedzi, kędy kłęby poszarpanych chmur tłukły się w pędzie.

Cichość jednak wciąż trwała, jeno zapach coraz gęstszy bił z ziemi, nasiąkłej krwią, i zwolna odurzał rannego. Ciało zdrętwiałe leżało niby kłoda zwalonego drzewa, a mózg myślami odzywał się coraz słabiej, słabiej...

Niepamiętny stawał się na to, co przeżył niedawno.

Oczy przysłoniła mgła ciężka, a usta, które rzucały skargami, zastygły w pytaniu.

Lecz nagle w mózgu rannego poczęły się rodzić widziadła straszne.

Stawały przed nim widma ciał poległych, a z ust ich bólem rozdętych padały jęki:

— Żyjąc, byłem szczęśliwy, a oto teraz krew ze mnie wyciekła do ostatka, a niewiem za co.

— W trwodze i bólu oddałem me życie, a teraz spokoju znaleść nie mogę, nie wiedząc, czym dobrze uczynił?

A inne znów strzępy człowieczego ciała wyłaziły z mroku i szczerząc zęby w śmiechu śmiertelnym, chichotały głucho:

— Goniliśmy, żyjąc, za słońca promieniem, a oto teraz w ciemności błądzimy — żali nie wiesz, czy słońce nam wzejdzie jeszcze?

— Żali słońce nam wzejdzie, powtarzał żołnierz resztkami głosu za chichotem widm.

Bezgraniczna, niezgłębiona męka uniosła go z łożyska. Czuł, że koniec jego życia się zbliża, czuł zimny wiew śmierci nad rozpalonem czołem, lecz nie chciał umierać, nie wiedząc za co swe życie daje.

Żałość wypłynęła mu z serca nad tymi, którzy po śmierci spokoju nie znaleźli, żałość nad każdą kropelką krwi niepotrzebnie przelanej.

Lecz znagła do uszu jego doleciał cichy szmer, jakby głos pieśni dawno już słyszanej, zmógł w sobie oddech i słuchał.

Bo oto rozśpiewała się ziemia, na której leżał, i melodyą swej pieśni kołysała do snu, niby matka swe dziecię.

— Długom spała, synu mój, niepomna dawnej chwały i świetności.

— A oto teraz, w tę noc cichą, zbudził mnie głos twej skargi.

— A krople krwi gorącej, ściekłe z twego ciała, zrosiły mi łono.

— I zbudził się duch we mnie, abym znowu żyła.

— I mówię tobie, mój synu, nie wątp, bo oto zbliża się godzina, w której słońce wzejdzie nad twoją mogiłą.

— I z ran twoich zcałuje krew skrzepłą, a blaskiem swych promieni zbudzi tych, którzy śpią jeszcze.

— Więc nie wątp, synu, jeno śnij spokojnie, bo wzejdzie słońce. Uciszał się zwolna rozszalały pęd myśli rannego żołnierza. A choć serce milkło, twarz pogodniała. Wreszcie oczy wbił w mrok gęsty i po raz ostatni wymówił: słońce....



Na bój.

Wznieś orle skrzydła
I leć!
Przez nieba lazury,
Podobny do widma,
Pochodnią hen z góry
Ty świeć!

Wskaż drogę ludzkości,
Ty król!
Oswobódź twą ziemię
Z ponurej przeszłości,
Zniszcz ludzkie cierpienia
I ból!

Rozprzestrzeń swe loty
I zgoń!
I bij piorunami,
Zwyciężaj przez grzmoty
I błyskawicami
Nas chroń!

Żelazo do broni
Ty kuj!
Zwyciężaj orężem,
Bo przyszłość cię goni,
We walce bądź mężem!
Na bój!

Wśród drogi słabnących
Ty miń!
Nie wstrzymuj się w biegu,
Zwyciężaj wątpiących!
Nim dotrzesz do brzegu —
Lub giń!

Zefowicz.



Fot. Bernard Chrzanowski W Wielkiej Dąbrówce pod Zbąszyniem.

W oczekiwaniu.

Mocą wrogiej zimy ciągle jeszcze spętane, rozciągnięte leżą zagony. Przez szarych, ciężkich chmur kłąb, przez mroźną wichurę przedarły się i przesunęły po nich miłośnie blade promienie. Jak gdyby zwiastuny. Wstrząsnął rolą niepokój. Przebiegł ją dreszcz oczekiwania. Kto też pług po niej wiosenną orką poprowadzi; na kogo spojrzą świeżo odwalone, wilgotne, lśniące skiby....

* * *

Podwieczorny gwar na szerokiej, wiejskiej ulicy. Domy jak gdyby podmiejskie, murowane a bielone; w oknach wśród białych firanek pelargonie. Bezlistne jeszcze pędy winogradu rozszczepiają się po ścianach. Z daleka, z za wsi zasrebrzyły się wody kresowego jeziora.

Cicho stoją w półmroku na wyniosłym brzegu gospodarskie chaty. Już światło błysnęło w oknie... U podnóża rzeka, jeszcze zimna od kry, która dopiero co ku Drezdenku spłynęła; rzeźwa i bystra Noteć, szeroko od stajanych śniegów na zrudziałych łąkach rozlana.

Dwór na wzgórzu. Przy nim kępa drzew o powyginanych, na zimnym błękicie nieba ostro rysujących się gałęziach. Liście jeszcze w pączkach, brązową łuską spowite. Po za dworem wyżyna spada ku dolinie Głdy; w niej płyną w wieczornych oparach w nieskończoność czarne fale pomorskich już lasów.

Burza rzuca z hukiem na jasny piasek kryształowe, zielone, w białe piany girlandy ubrane morze. Chwieje się nikły charszcz; gną się karłowate, szarym mchem suto porosłe sosenki. Od południa pod ubogiemi, do wydm przytulonemi chałupami przygrzewa już słońce; świeże tam ku niemu wyrastają trawy.

* * *

Zimny lęk i gorąca radość idzie — naprzemian — po tych rolach, zagonach, ogrodach i piaskach, po tych łąkach i borach, po tych stawach i rzekach; oziminy prostują i wydłużają wąskie listki; przydrożne wierzby złocą swe pędy; siwe starce i płowe dzieci siadają na przyźbach i ławach; serce stęsknionej ziemi drży; chciałaby ustroić się odświętnie, chociażby w stokrocie, białe i różowe, na przyjęcie — wiosny.

W czasie wojny w 1916 roku.

Bernard Chrzanowski.

Pałac Mielżyńskich w Poznaniu.

W najwybitniejszych rodzin wielkopolskich szeregu zajmował przez wieki starożytny ród Mielżyńskich, herbu Nowina-Złotogoleńczyk, jedno z pierwszych miejsc.

Piastujących wysokie godności senatorskie i urzędy pierwsze wielkopolskie powoływały często Mielżyńskich do Poznania obowiązki społeczne i służba publiczna. Obyczajem szlachty, prócz ogromnych włości, posiadali w Poznaniu dwory i dworki, a przeszło pół wieku zamieszkiwali obszerny swój pałac w mieście.

Koleje tego gmachu są więc ważnym przyczynkiem w dziejach stolicy wielkopolskiej, tem więcej, że łączą się z tym domem także nazwiska Opaleńskich, Grudzińskich, Radomickich.

Obszerny, duży, dwupiętrowy gmach zajmuje narożnik Rynku i ulicy Wronieckiej po lewej stronie; pięć okien, rozdzielonych kolumnami zwraca się do Rynku, siedm ku ulicy. Pałac podpada ładną architekturą.

Dzieje w domu Rynku, który kolejno był w ręku mieszczan i szlachty można rozpocząć od połowy XV. wieku. Już w r. 1463[1]) jest właścicielem domu »narożnego w Rynku i ulicy Wronieckiej po lewej ręce« niejakiś Cristek, Krystek, mieszczanin.

[1]) Libri Resignationum B. 1460—1463 fol. 69. Archiwum miejskie w Pozuaniu.

W r. 1534[1]) należy dom do Piotra Policzka. W dwadzieścia lat później sprzedaje Policzek »swój dom murowany w Rynku obok domu Bartłomieja Gozdza i ulicy Wronieckiej Janowi Opalińskiemu.[2])

Spis właścicieli domów w Rynku z r. 1569 mówi o tymże domu że to »Jey Możć Pany Opaliensky kamienica.[3])«

Sąsiedni dom należał wtedy do Jana Klicy. Około r. 1593 sprzedaje dom narożni obok Jana Klicy — Jadwiga z Cerekwicy Nakielska — Januszowi Grudzińskiemu.[4])

W połowie wieku XVII. dom znowu zmienia właścicieli. Dowiadujemy się z odnośnego kontraktu, że roku pańskiego tysiącznego sześćsetnego pięćdziesiątego trzeciego stał się pewny i doskonały kontrakt w ten sposób: Ignacy Wenclewicz, mieszczanin poznański, kamienicę swą w Rynku obok Prokopa Skałeckiego i ulicy Wronieckiej z wszystkiem prawem i dziedzictwem sprzedał Szymonowi Buta i jego małżonce Jadwidze Brownównie za 15 tysięcy złp.[5])

Podymne z r. 1655 wskazuje, że w trzeciej kwaterze Rynku dom siódmy do Szymona Buty należy. W następnych latach jest dom w ręku rodziny poznańskiej Pleśniewiczów, lecz kamienica jeszcze nosi nazwę »Rucińskiej.«

W r. 1719 »sprzedają Stanisław i Floryan, synowie Stanisława i Barbary z Winklerów Pleśniewiczów, kamienicę quondam Bninską na rogu Rynku po lewej stronie na Wroniecką ulicę idąc od J. W. Krzysztofa Rozwadowskiego przez dekret Jego Królewskiej Mości 1706 r. ferowaną, jemu przysądzoną, nabytą a potem

[1]) Regestrum Exactionis 1534. Archiwum miejskie w Poznaniu.
[2]) Libri Resignationum 1546—1557. Archiwum miejskie w Poznaniu.
[3]) Circulus 1569, Archiwum miejskie w Poznaniu.
[4]) B. 1591—1608.
[5]) B. 1654—1682.

przez wlewek prawa przez tegoż Rozwadowskiego zapisanej, zeznanej należycie kupionej, na wylot ku ulicy idąc z izbami izdebkami, sklepami J. W. Andrzejowi Alexandrowi Radomickiemu, wojewodzie poznańskiemu«[1]) ojcu Jana wojewody inowrocławskiego i generała Wielkopolski. Z tym zawiłym kontraktem łączy się sprawa z martyrologii czasów szwedzkich i zdemolowania licznych domów w Rynku, z rozkazu »Magnifici Generalis Barona Rheinsched,« o którym to zdemolowaniu nie mogę mówić, by od tematu nie odchodzić.

Dom pozostał przeszło pół wieku w ręku Radomickich nie wiem jednak, jakie w tym czasie przechodził koleje. W rok 1772 odkupuje w grodzie kościańskim od Franciszki z Radomickich Szołdrskiej za cenę 20000 złp. lub 3333 talarów[2]) kamienicę hrabia Maximiljan Mielżyński, szambelan, pisarz wielki koronny, zmarły roku 1779, jeden z najzamożniejszych panów wielkopolskich. Nazywano go »królem kontraktów poznańskich«. On to w czasie transakcyi hrybojańskich zapłacił r. 1772 za kupione dobra od razu 2 miliony złp. Pozostawił 3 synów Stanisława, Mikołaja i Tomasza. Dom należy następnie do rozmaitych przedstawicieli tego rodu, do hr. Mikołaja, pana majętności banhorskiej i jego żony Brygildy ze Sczanieckich, do hr. Stanisława, Mielżyńskiego, generała, do Katarzyny z Mielżyńskich Mielżyńskiej.



Dawniejszy pałac hr. Mielżyńskich w Starym Rynku w Poznaniu.

Odgrywając wybitną rolę w dziejach wielkopolskiej ziemi, zaskarbili sobie Mielżyńscy sympatją i serce ogółu. Kiedy r. 1792 umiera Józef Mielżyński, wojewoda poznański, kawaler Maltański, piastujący godność najwyższą senatu wielkopolskiego, to całe miasto okrywa się żałobą, opłakując zgon znakomitego obywatela. Następnie należy pałac do hr. Mielżyńskiego Alexandra z Baszkowa i jego żony hr. Potulickiej.

Około r. 1833 przechodzi dom w obce ręce, a Mielżyńscy inne zamieszkanie sobie nabywają w Poznaniu, prowadza jednak zawsze dom otwarty.

[1]) A. B. 1717—1719 str. 58 III t.

[2]) Akta hipoteczne nr. 91. Sąd okręgowy.

Łącząc pierwsze towarzystwo Wielkopolski, urządzali Mielżyńscy często w pałacu w rynku przyjęcia — a sala obszerna rozbrzmiewała dźwiękami muzyki, brzękiem kielichów, gwarem śmiechu, rozmów, toastów.

Gdyby stare mury mogły przechować odbicia rozjarzonych świecami, strojnych kwiatami komnat, ukazałyby nam w blasku żyrandoli: w pudrowanych fryzurach damy, z muszkami na twarzy, siedzące na złoconych rokoko meblach w szerokich sukniach. Obok przechadzają się mężczyźni w karmazynowych kontuszach, litych pasach, a inni w francuskich strojach tańczą przy dzwiękach poloneza lub mazura.

Odmienny znów obraz w czasach napoleońskich. Gdyby stare mury mogły mówić, opowiedziałyby nam może, jak niegdyś uroczej pani domu, Konstancyi z Mielżyńskich Mielżyńskiej zsunęły się podczas kolacyi złote zawodałki, a jeden z krewnych zobaczywszy je pod stołem, chcąc zaambarasować sąsiadkę podniósł minjaturowe ciżemki, na talerzu postawił, i do stołu kazał podać pięknej właścicielce.

Wspomnienia łatwo się zacierają, jedno jednak tradycja przechowała: Nie oczekiwano tu nigdy z takiem upragnieniem nikogo, jak w r. 1806 przybycia jenerała Dąbrowskiego. Była to pamiętna noc listopadowa w przeddzień przybycia Napoleona do Poznania. Przy świetle pochodni, wśród okrzyków radości rozentuzjazmowanego tłumu, wyprzągnięto konie karety i zawieziono uwielbianego jenerała do pałacu Mielżyńskich.

Pani Konstancja z Mielżyńskich Mielżyńska, o której wyżej mówiłam, córka Maksymiljana, dłuższy czas właścicielka pałacu w rynku, umarła w niezwykłych okolicznościach. Był to dzień ślubu hr. Potulickiej. Ślub odbywał się w kaplicy pałacowej w Chobienicach, obok jej pokoju. Siedziała w swym fotelu podczas ślubu, lecz już nie żyła, gdy młoda para od ołtarza odchodziła. Brat jej, jenerał Stanisław, pobłogosławił młodą parę w tych smutnych warunkach już skostniałą ręką matki.

Jak ogółem szlachta mająca liczne dwory i dworki w mieście, posiadali i Mielżyńscy w połowie XIII wieku dwory na Gaskach i piaskach, przedmieściach, później posiadali dwór na Grobli. Tamześrodkowywali Mielżyńscy z Miłosławia, za przyjazdem do Poznania życie towarzyskie i społeczne obywatelstwa. W początkach 19 wieku sprzedała nieodpowiednie domostwo na Grobli Franciszka z Niemojowskich hr. Mielżyńska i prowadziła dom otwarty przy ulicy Wilhelmowskiej. Była to ostatnia i najstarsza w Wielkopolsce starościna.

Starosta klonowski, Józef hr. Mielżyński pozostawił synów: Macieja, Ignacego, Seweryna i córkę Aurelią, znaną z urody późniejszą Teodorową Mycielską z Chocieszewic, młodo zmarłą. Ignacy Mielżyński zginął trzydziestego pierwszego roku na Litwie pod Szawlami, dokąd poszedł z korpusem generała Chłapowskiego. Bracia jego należeli przez lat czterdzieści do najznakomitszych postaci naszego społeczeństwa. Seweryn, najmłodszy, bystrością umysłu, sarkazmem i dowcipem się odznaczał, łączył z temi zaletami niepospolitą zdolność do nauk i sztuk pięknych, ze zamiłowaniem oddawał się malarstwu. Od lat najmłodszych z gorącym patryotyzmem łączył sympatye ludowe i poczucia demokratyczne. Wypadki r. 1843 ześrodkowywały się głównie w Miłosławiu. Również wspierał Mielżyński Seweryn powstanie 63 r. Cały nieomal dochód z ogromnej fortuny poświęcał dobru publicznemu. Zbiory Rastawickiego, które nabył za znaczną sumę, ofiarował Towarzystwu Przyjaciół Nauk. Ożeniony z Franciszką Wilkxycką umarł r. 1872.

Również wzorem polskiego obywatela był Maciej hr. Mielżyński. R. 1830 wstąpił wraz z braćmi do jazdy poznańskiej i odbył jako adjutant generała Chłapowskiego wyprawę litewską; odznaczył się niepospolitą odwagą pod Lidą i Oranam, a szczególniej

pod Długosiodłami, przebijając się samotrzeć przez cały batalion piechoty rosyjskiej. Odznaczony został krzyżem złotym pro virtute. Nieodłącznym jego towarzyszem w tej wyprawie był Karol Marcinkowski, z którym już poprzednio w Poznaniu ścisłą zawarł przyjaźń.

Po przejściach wojennych i więziennych osiadł na wsi, oddając się gospodarstwu, które swą pracą podniósł. Brał czynny udział w założeniu Bazaru, po ciężkiej cholerze r. 1863 przyłożył się w znacznej mierze do wyposażenia domu dla sierot na Śródce przy kościele Filipinów.

W domu Macieja Mielżyńskiego powstała pierwsza myśl pomocy naukowej dla młodzieży, by zdolnym a ubogim oszczędzić upokorzenia wyciągania ręki o pomoc. Razem z Karolem Marcinkowskim obmyślał co raz to nowe plany i drogi przysłużenia się społeczeństwu.

W tej pracy około spraw publicznych, w usługach oddawanych tak krajowi jak i pojedyńczym osobom wytrwał do końca.

Hr. Mielżyński Maciej, ożeniony z Konstancyą Mielżyńską umarł roku 1870.



J. Graczyński, Poznań.

Jak poprzednie generacye krwią i duchem Rzeczypospolitej służyły wiernie, tak Mielżyńscy, o których tu po krótce mowa, nieśli w dani Polsce ofiarność, patryotyzm, pracę społeczną — a gdy »miłość ojczyzny do szeregów wołała, tam pierwsi stawali.«

Pałac i dom w Poznaniu a przedewszystkiem Miłosław były świadkami doniosłej pracy obywatelskiej na każdem polu.

Nie było czynu dla dobra publicznego, któryby w domu Mielżyńskich najprzód nie był obmyślany, nie było szlachetnej myśli, którejby się nie starano w czyn wprowadzić. »Bieg ich życia szedł równo z wypadkami jakie Polska przechodziła.«

Marya z Sławskich Wicherkiewiczowa.

Gdy cel jest wzniosły, każde choćby najprozaiczniejsze zajęcie traci na trywialności, a przybiera właściwą sobie poezyę — poezyę dobrego czynu.

Marya Janta-Połczyńska.

Tobie.

O, żebym zrzucić
mógł ziemskie pęta
i piosnkę nucić,
jak te ptaszęta,
duszę wynucić
z własnego łona
i już nie wrócić
w świat, który kona.
O, żebym śpiewać
umiał jak ptaki,
miłość rozsiewać
w błękitne szlaki,
nie zbierać plonu
ze serca siewu
i aż do skonu
kochać — dla śpiewu!
Lecz mnie unoszą
w zawrotne dale
wieczną rozkoszą
pragnienia fale;
że wszystko kona
co posiąść pragnę —
kwiat co do łona
miłośnie nagnę,
woda w strumieniu
pragnień nie koi,
w słońca promieniu
świat martwy stoi.
O, żebym zrzucić
mógł ziemskie pęta
i piosnke nucić
jak te ptaszęta!
O, żebym kochać
umiał świat cały
i cicho szlochać,
jak chłopiec mały!
O, żebym śpiewać
umiał jak ptaki,
miłość rozsiewać
w błękitne szlaki
i — choć na ziemi —
żyć zawsze w niebie,
pieśniami swemi
poruszyć — Ciebie!

Juliusz Chłapowski.

Skrzypki.

Miałem ci ja skrzypki,
Miałem skrzypki złote,
Wygrywałem na nich
Sobie na ochotę,
Miałem złote struny
Co tak rzewnie grały,
Że dziewczęta wszystkie
Do łez się wruszały.
Ale dzisiaj skrzypki
Grać już nie umieją,
Choć się dziewcząt oczy
Tak jak dawniej śmieją,
Piosnki jakieś ciche
Zawodzą tułacze.
Jakże grać wesoło
Gdy ojczyzna płacze? —

Grajcie, grajcie skrzypki,
Choć się serce krwawi,
Niech wasz śpiew przeczysty
Wspomnienia zostawi,
Grajcie, grajcie skrzypki,
Grajcie mi tęsknotę,
I przeczucia wiosny,
I nadzieje złote. —
A gdy przyjdzie wiosna
Przepełna miłości,
Grajcie złote skrzypki
Cudną pieśń wolności,
Na mogile sławy
Nowe budząc czyny,
Wiodąc myśl narodu
Na nowe wyżyny! —

Grajcie, grajcie skrzypki!
Czy widzicie w dali
Łunę polskich osad,
Co się bólem pali?
Może Bóg wysłuchał
Waszych serc tęsknotę! —
Grajcie złote skrzypki,
Grajcie struny złote!

Juliusz Chłapowski.

Z badań nad zdrowotnością i długością życia

w młodszej epoce kamiennej.

Utarło się powszechnie mniemanie, jakoby ludzkość pierwotna odznaczała się nie tylko wyższym wzrostem i większą siłą mięśni, lecz także lepszem bez porównania zdrowiem i dłuższem życiem, niż człowiek dzisiejszy. Opinia ta godzi się znakomicie z ogólną tendencyą idealizowania stanu niemowlęctwa ludzkości, gdzie człowiek żyjąc w zgodzie z naturą i jej prawami i zadowalając się skromnymi warunkami życia ówczesnego, cieszył się jakoby niczem niezmąconem szczęściem. Podobnie jednak, jak badania etnologiczne rozwiały jedno z tych złudzeń, wykazując, że niezłożone stosunki społeczne nie zawsze są równoznaczne z szczęśliwym i spokojnym bytem, obecnie i archeologia dostarcza coraz to pewniejszych dowodów na to, że i pod względem zdrowotnym ludność przedhistoryczna Europy bynajmniej nie przewyższała człowieka współczesnego, że przeciwnie łatwiej nawet ulegała chorobom i żyła stosunkowo kródzej niż ludzkość dzisiejsza.

W jakiż sposób można było dojść do stwierdzenia tego faktu i jakimże cudem wogóle możliwe było poznanie stanu zdrowotnego człowieka przedhistorycznego, skoro nie posiadamy z czasów przeddziejowych żadnych innych dokumentów i zabytków, oprócz jedynie wyrobów rąk ludzkich, znajdowanych przypadkowo w ziemi oraz nielicznie ocalałych szczątków samego człowieka, w postaci mniej lub więcej doskonale zachowanych szkieletów, gdy ciało samo dawno oczywiście uległo rozkładowi? Otóż umożliwia to ta okoliczność, że pewna ilość chorób atakuje nie tylko owe części ciała, ulegające łatwo zniszczeniu. a więc skórę, mięśnie, nerwy itd., lecz wywołuje także wyraźne zmiany patologiczne w kościach, odznaczających się większą odpornością, co pozwala nam po długich jeszcze wiekach rozpoznać, na co dany osobnik cierpiał i odgadnąć nawet nieraz przyczynę jego śmierci. Zabierając się do przedstawienia głównych wyników badań nad stanem zdrowotnym i długością życia w najstarszej i najprymitywniejszej fazie kultury ludzkiej: w młodszej epoce kamiennej (neolicie), — zaznaczam z góry, że ograniczę się wyłącznie prawie do krajów skandynawskich, ziemie polskie bowiem rozporządzają dotąd z okresu tego zbyt szczupłym materyałem zabytków. który w dodatku nie był pod tym względem wcale prawie badany,

Pierwszorzędnej wagi dla naszego przedmiotu są przedewszystkiem badania antropologa duńskiego, prof. dr. H. A. Nielsena, który podjął mozolną pracę szczególnego zbadania całego materyału kostnego z grobów neolitycznych duńskich, pochodzącego od 616 osobników, i otrzymane rezultaty przedstawił w obszernej monografii*). Po za tem wypadnie nam się oprzeć na pracy Karola M. Fürsta, który przeprowadził analogiczne badania w Szwecyi**), oraz na wynikach otrzymanych w krajach Europy zachodniej szczególnie Francyi.

Rozpatrując się w ocalałym materyale kostnym z epoki kamiennej, spostrzegamy przedewszystkiem cały szereg anomalii w budowie kośćca, które dla danych osobników były nieraz źródłem poważnych cierpień. Pomijam tu takie nieprawidłowości, jak *niezrośnięcie się szwa czołowego czaszki,* zaobserwowane u kilku osobników dorosłych, gdy zazwyczaj zrasta się on już w wieku dziecięcym, przy końcu drugiego roku życia, dalej *skrzywienie kręgosłupa. które stwierdzono u szkieletu* młodej, 20-letniej kobiety, nienaturalne wydłużenie czaszki, zwane *skafocefalią,* połączone nieraz z utworzeniem się wyraźnego grzebykowatego podwyższenia w linii środkowej (jest to skutek przedwczesnego zrośnięcia się szwa

---

*) Yderligere Bidrag fil Danmarks stenaldersfolks anthropologi (Aarboer for nordisk Oldkyndighed og historie 1911 Str. 81—205).

**) Ogłoszone w Foruvännen 1914, str. 17—31.

strzałowego) wreszcie *nienormalne uzębienie*, stwierdzone u dwóch osobników dorosłych, mniejwięcej trzydziestoletnich, którym brak zupełnie tzw. zębów mądrości.

Źródłem znacznie poważniejszych cierpień, stać się może anomalia, zauważona kilkakrotnie u szkieletów szwedzkich, a polegająca na tem, że łuki kości pacierzowej, otaczające rdzeń kręgowy, nie zrastają się z sobą, przez co powstaje szpara w kręgosłupie. Im wyżej sięga ta szpara, tem mniejsze jest prawdopodobieństwo utrzymania się osobnika przy życiu; o ile jednak zjawisko to ogranicza się jedynie do kości kuprowej, można z tem żyć spokojnie. Poważniejsze cierpienia powoduje nieraz także pojawienie się *narośli kostnych w zewnętrznym przepuście słuchowym*, zaobserbowane np. u szkieletu męskiego z Hardemo (w Szwecyi). Zjawisko to, znane specyalistom na choroby uszne, może się stać przyczyną poważnego niedomagania, bo taka narośl wypełnia nieraz większą część przepustu słuchowego, utrudniając badanie i leczenie choroby. Zupełnie natomiast niewinnego rodzaju jest anomalia, polegająca na *zrośnięciu się dwuch ostatnich paliczków palców stopy*, a zdarzająca się szczególnie często u małego palca. U ludzi dzisiejszych tłumaczy się podobne skurczenie małego palca zazwyczaj noszeniem zbyt ciasnego obuwia. Ponieważ jednak u przodków naszych z epoki kamiennej przyczyna ta nie wchodzi w rachubę, podobnie zresztą jak u dzisiejszych narodów niecywilizowanych, gdzie zjawisko to również nie jest wcale rzadkie, należy chyba przypuszczać, że mały palec u człowieka zaczyna stawać się szczątkowym i przechodzi powoli w palec dwupaliczkowy.

Z właściwych chorób jakie trapiły naszych praszczurów z epoki kamiennej, najczęstszą jest *ortrytyzm*, czyli gościec. Występuje on zarówno w postaci zwykłej, jako chroniczne zapalenie stawów bez dalszych komplikacyi, jak i w związku z mniej lub więcej posuniętem zrośnięciem się dwóch kości sąsiednich. U zbadanych szkieletów neolitycznych dotknięta jest tą chorobą przeważnie kość pacierzowa, ale występuje ona i na innych miejscach, np. na kości biodrowej u palców stopy, na kościach ramion itd. Zrośnięcia jednak ograniczają się wyłącznie prawie do kręgosłupa, wywołując tam zmniejszenie ruchliwości a nieraz powodując znaczne wykrzywienia a nawet powstanie formalnego garbu, co stwierdzono np. u szkieletu z Mysiuge (na wyspie Oland). Ciężkie to cierpienie, które spotykamy tak licznie na całej północy, wywołane było bezwątpienia ówczesnemi warunkami życia (przewaga pokarmów mięsnych!) i niebezpiecznemi stosunkami mieszkalnemi.

Także inna choroba konstytucyjna, atakująca głównie kościec, mianowicie *rachitis* czyli tzw. angielska choroba, znana już była ludności epoki kamiennej. Ogółem znamy z tych czasów 6 wypadków, w których stwierdzono spewnością rachityczne skrzywienie kości. Nie brak też poszlak wskazujących, że i jedna z najgroźniejszych chorób współczesnych, *gruźlica*, szerzyła się już w neolicie, skracając życie wielu istnień. O obecności jej zdają się świadczyć swoistego rodzaju gruczołki, na wewnętrznej stronie kości czołowej czaszki z Slutarp oraz podobne wypukłości na powierzchni innej czaszki, znalezionej w miejscowości Skorby (w pow. Nerike, w Szwecyi).

Niejednokrotnie już stwierdzono u ludności neolitycznej występowanie *próchnicy zębów*, jednego z najbardziej dziś rozpowszechnionych cierpień spotykanego zarówno wśród dzieci jak u dorosłych, które nie będąc niebezpieczne samo w sobie, wywiera jednak nader ujemny wpływ na zdrowie całego organizmu, szczególnie zaś na proces trawienia. Choroba ta jednak była w epoce kamiennej bez porównania rzadsza niż w czasach obecnych. W Danii np. na 162 zbadanych osobników męskich tylko u 23 (tzn. 14,2 proc.) stwierdzono zepsute zęby, przeważnie tylko w ilości 1 do 2, — na 90 szkieletów żeńskich znaleziono je tylko u 12 (czyli u 14,3 proc.), wśród 53 dzieci, przeważnie starszych niż 4 lata, spotkano się z zepsutemi zębami tylko u jednego dziecka, w wieku mniejwięcej 14 lat. Korzystniejszy jeszcze stosunek procentowy stwierdzono w Francyi, gdzie tylko u 1—1,5 proc. zbadanych szkieletów neolitycznych zauważono zepsute zęby. Jeśli z cyframi temi porównamy wyniki statystyk z nowszych czasów, np. rezultaty badań Lübrsera, który u 72,1 proc. żołnierzy polskich, służących w wojsku niemieckiem, stwierdził próchnicę zębów, albo wyniki ankiety dra Tchórznickiego, wykazującej, że 93,8 proc. ludności miasta Warszawy ma zepsute zęby, poznamy, że nie na każdem polu wyróżniamy się korzystnie od naszych przodków z przed 4000 lat.

Pomijam inne choroby, rzadziej spotykane, np. stwierdzony w dwóch wypadkach *wrzód twardej opony mózgowej* (fungus durae matris), powstający w tęgówce mózgowia i przeżerający z czasem czaszkę, dalej *skostnienie mięśni* (myositis ossificans), polegającą na tworzeniu się cząstek kostnych w mięśniach a powstającą zazwyczaj z powodu jakiegoś nieszczęśliwego wypadku, np. przejechania lub pchnięcia nożem, chociaż może ono pochodzić także z wrodzonej skłonności danego osobnika, oraz inne rzadkie cierpienia.

Osobna wzmianka należy się jeszcze uszkodzeniom, spotykanym na kościach szkieletów neolitycznych a pochodzącym z ran otrzymanych w walce. Na czaszce z Hardemo (w Szwecyi) widzimy np. w górnej części kości ciemieniowej głęboką bróżdę, sięgającą aż do kości skroniowej i kończącą się podługowatym otworem. Jest to

ślad pchnięcia, wykonanego ostrą jakąś bronią, najprawdopodobniej sztyletem; ostrze jego osunęło się tu po czaszce i nie zdołało przebić jej zbyt głęboko; to też rana zadana zagoiła się i osobnik ten żył jeszcze długo po owym wypadku. Natomiast inna rana podobna, zaobserwowana u czaszki z Tygelsjö (w prow. Skäne, w Szwecyi) spowodowała z pewnością śmierć, a wypadek ten jest tem ciekawszy, że w czaszce w owej tkwiło jeszcze narzędzie zabójcze — w postaci sztyletu z rogu łosia, który złamał się widocznie przy uderzeniu.

Inne czaszki współczesne z śladami uszkodzeń gwałtownych ważne są z tego względu, że pozwalają nam zapoznać się do pewnego stopnia z lecznictwem pierwotnem, szczególnie zaś z początkami chirurgii. Na niektórych z nich bowiem znajdujemy wyraźne ślady przedsięwziętych niegdyś operacyi, które polegały zazwyczaj na starannem wyrównania brzegu zadanej rany i oczyszczeniu jej z ułamków kości, które odprysły przy zadaniu ciosu. Z Danii znamy ogółem trzy czaszki neolityczne z wyciętymi w nich otworami, świadczącymi o wykonanej tu operacyi tzw. trepanacyi.*) W dwóch wypadkach operacya ta wywołana była z pewnością zranieniem czaszki, w trzecim zapewne jakiemś cierpieniem wewnętrznem, które zaatakowało zewnętrzne lub wewnętrzne części głowy. W wszystkich trzech wypadkach rana zagoiła się i dane osoby po szczęśliwie udanej operacyi żyły bezwątpienia jeszcze cały szereg lat, o czem świadczą równe zabliźnione brzegi rany. Jeśli zważymy, że udane te operacye nie należące i dziś do łatwych, wykonywano przy pomocy najprymitywniejszych narzędzi krzemiennych, nie podobna oprzeć się uczuciu podziwu dla zdolności chirurgów ówczesnych, którzy wykonywali swe funkcye widocznie zawodowo, skoro mogli dojść do podobnej biegłości. Znamy i inne przykłady szczęśliwego wyleczenia poważniejszych wypadków złamania kości np. złamania obojczyka, kości promieniowej ramienia, kości prętowej u nogi, kości nosowej itp. Bywały oczywiście i wypadki takie, gdzie pomocy choremu udzielić nie było można, bądź to, że nie było osoby odpowiedniej pod ręką, bądź też, że wypadek był zbyt poważny i operacya na nic nie byłaby się przydała, jak np. w dwóch wypadkach złamania czaszki, które znamy z Grydby i Pilegard w Danii.


Fot. Z. Śniegocki, Poznań — Sieniawska.

Opisane tu choroby i kalectwa stanowią oczywiście tylko drobny ułamek wszystkich chorób, jakim podlegali przodkowie nasi w młodszej epoce kamiennej. Zdołamy je poznać tylko o tyle, o ile pozostawiły one jakieś ślady na kościach dochowanych, otrzymany więc w ten sposób obraz zdrowotności ówczesnej nie może być dokładny.

Uzupełniają go ciekawe obliczenia, dokonane przez wspomnianego już na wstępie prof. Nielsena, a odnoszące się do *śmiertelności* człowieka neolitycznego. Badaczowi temu udało się w 449 wypadkach (na ogólną liczbę 616 zbadanych szkieletów z młodszej epoki kamiennej)

*) W innych krajach, np. we Francyi trepanacya jest jeszcze częstsza. Znamy ją również w Polsce, lecz z czasów znacznie późniejszych.

określić dokładnie wiek, w którym dana jednostka umarła i to na podstawie ilości i zużycia zębów, stanu szwów czaszkowych i tym podobnych znamion, umożliwiających oznaczenie wieku. W tej liczbie było 288 osobników dorosłych, a 161 dzieci i młodzieży poniżej lat 17. Rozdzieliwszy liczbę dorosłych na 5 grup, z których pierwsza obejmowała jednostki w wieku od 20—30 lat, każda następna zaś osoby o 10 lat starsze, uzyskał Nielsen dość dokładny obraz śmiertelności ludności ówczesnej. Z obliczeń jego wynika, że 46,9 proc. z ogólnej liczby 288 osób zbadanych, tzn. blizko połowa, zmarła pomiędzy 20 a 30 rokiem życia. Liczby te są nieproporcyonalnie wysokie, bo z pośród dzisiejszej dorosłej ludności duńskiej umiera w tym wieku zaledwie 21,1 proc., gdy najwyższa cyfra procentowa śmiertelności przypada dopiero na okres pomiędzy 50 a 60 rokiem życia, którą osięga 34,3 proc. ludności. W opoce kamiennej natomiast zaledwie 8 proc. zbadanych osobników dożyło tego wieku. Ciekawe jest, że u kobiet śmiertelność w ówczesnym wieku jest większa, niż u mężczyzn (53,7 proc. wobec 41,4 proc.), co tłomaczy się bezwątpienia niebezpieczeństwami związanemi z pierwszym porodem, — gdy natomiast w wieku późniejszym stosunek się odwraca, bo np. osoby, które żyły dłużej niż 60 lat, stanowiły wśród mężczyzn tylko 0,5 proc. ogólnej liczby, wśród kobiet natomiast 4,6 proc.

Przyczyny tej znacznej śmiertelności w neolicie nie udało się dotąd z całą pewnością ustalić. Wypadki gwałtownej śmierci były jak wynika z zbadanego materyału, stosunkowo rzadkie i nie odgrywały większej roli. Bezwątpienia istniały i wówczas, jak i później, liczne waśnie prywatne i rozgrywały się niejednokrotnie krwawe walki plemienne, a kilka przytoczonych powyżej przykładów świadczy wymownie o tem, że ludność neolityczna niemałą miała wprawę w gruchotaniu sobie nawzajem czaszek, ale fakt ten nie wyjaśnia dostatecznie zagadki, dlaczego tak nieproporcyonalnie wielką ilość ludności ówczesnej przedewszystkiem kobiet zabierała śmierć w tak młodym wieku. Również z opisanych powyżej chorób nieznaczna tylko liczba była istotnie śmiertelna i mogłaby wchodzić ta w rachubę. Pozostawało więc jako jedyna możliwość — przypuścić, że przyczyną owej ogromnej śmiertelności były srożące się wówczas zarazy, choroby epidemiczne, które i dziś podobnie dziesiątkują ludy pierwotne. Szerzeniu się tych chorób sprzyjały bezwątpienia ówczesne warunki życia, przedewszystkiem wilgoć i ponurość mieszkań, które — jak wiemy z odkrytych ich szczątków — składały się z niewielkich dołów wybranych w ziemi i przykrytych górą dachem z żerdzi i gliny.

Jakkolwiek więc życie człowieka pierwotnego ma dla pokoleń dzisiejszych niewątpliwie dużo uroku a rozmaite ówczesne zdobycze techniczne, osiągnięte przy pomocy najprymitywniejszych środków, niemniej i pierwociny twórczości artystycznej oraz szybkie postępy na drodze uspołecznienia budzą w nas szczery podziw dla przejawiającej się już w tych pierwszych wysiłkach zapowiedzi przyszłego rozwoju ludzkości, — stosunki ówczesne nie ze wszystkiem godne były pozazdroszczenia i niejeden entuzyasta dzisiejszy, zapalający się do czasów przedhistorycznych i wystawiający sobie życie ówczesne w najpiękniejszych kolorach, doznałby — przeniesiony w epokę kamienną — z pewnością niemiłego rozczarowania, o czem przekonują chociażby przedstawione tu pokrótce wyniki badań nad zdrowotnością i długością życia w czasach przedhistorycznych, tak sprzeczne z zakorzenionemi mniemaniami szerokiego ogółu.

J. K.

Mój pierwszy wiersz.

Jeszcze nie odrosłem wiele od ziemi, zbliżając się ku siódmej wiośnie mego życia a już zaczęto mnie wprzągać w jarzmo nauki. Pamiętam, tej pracy podjęła się ś. p. moja najukochańsza babka. Więc najprzód uczyła mnie abecadła z elementarza, w którym nad każdą literą był wymalowany obrazek, zaczynający się odpowiednią literą, nad „A" był wyobrażony anioł; i jakoś mi dosyć szło. — Niedługo nauczyłem się poznawać literki, a następnie składać słowa i całe zdania. Później nadszedł czas czytania i uczenia się na pamięć małych bajek. Podpadało mi tylko, że w tych bajkach przemawiają zwierzątka, czego też n. p. kochana moja babka nie omieszkała mi wytłomaczyć, dodając, że każda taka bajka mieści w sobie dla ludzi naukę, — sens moralny. — Ma się rozumieć, że przy tych babki wykładach, myśl moja bujała na podwórzu; czekałem z upragnieniem końca lekcyi, aby drapnąć do czekających już na mnie kolegów zabawy, i rozpocząć grę w wojnę, jazdę w konie i tym podobne. — Ale mimo zabaw, coś z nauk babci, też utkwiło w mej pamięci — Te wierszyki zdawały mi się tak łatwe, że zaczęła mi myśl kołatać po głowie, aby taki sam wierszyk, mający sens moralny, utworzyć. Więc w Imię Boga, — dalej do dzieła, dalej w krzaki, i tam łamać głowę; — i oto skleił mi się wiersz:

„Niech Bóg jedyny broni,
Jak dwóch jednego goni,
Trzeci na przestęp wali,
Z pewnością go dostali.'

Tu jeszcze tylko dodam, że od babci dostałem za ten wiersz czerwony cukierek.

Świerkówiec. *Józef Trzciński senior.*



Z Zielewiczów
Marja Hammarowa.

List ze Szwecyi.

Uddevalla, 12 marca 1916.

. . . .

Raz wreszcie poczułam się w Szwecyi prawie jak w domu. Powiem raczej: jak u zacnych, miłych krewnych Jeszcze niedawno zdawało mi się, że nasz dom to wyspa na bezludnem morzu. Woda, niebo i pustka. Nagle morze zniknęło i zobaczyłam miłą ziemię, pełną wsi, miast, miasteczek, wszędzie ludzie dobrotliwi, życzliwi, z którymi miło pogawędzić, ręce im uścisnąć. Zdaje mi się, że zwłaszcza do tych czerwonych i białych domków po wsiach mogłabym wejść każdej chwili, a przyjmą mnie serdecznie, posadzą na kanapie, wniosą czemprędzej kawę z ciasteczkami i zapytają: A jak tam w Polsce? Jakie wiadomości z Poznania? Czy rzeczy już doszły? Czy im się to na co przyda?

Tę dziwną przemianę zawdzięczam takiej okoliczności: otośmy Polki, mieszkające w Szwecji, zapukały do serc kobiet szwedzkich, prosząc o odzież dla naszych bezdomnych. Choć ostateczny rezultat jeszcze niewiadomy, jednak już dzisiaj można powiedzieć, że powiodło nam się nieźle, bo 6 miljonowa ludność złożyła w darze około 5000 kg. różnej odzieży.

Wszystkie warstwy społeczeństwa szwedzkiego wzięły udział w tej zbiórce. Miasta Sztokholm, Göteborg, Malmö, Helsingborg, Norrköping, Lund, Karlshamn pospieszyły z hojnemi darami. Jednak odniosłam wrażenie, że nasza odezwa przemówiła najdobitniej do serc prostych, do ludu szwedzkiego. Całe powiaty wzięły udział w tem udziele miłosierdzia. Z najmniej zamożnych okolic, często z jednej wsi przysyłano duże skrzynie, pełne odzieży prostej lecz porządnej. Przychodziły paczki z najodleglejszych zakątków kraju: z wyspy Gotlandu zawiniątko, pieczołowicie w płótno zaszyte i z przeciwnego krańca Szwecyi ze wsi rybackiej Käringör, po której hasają wichry Skageraku. Z dziwnem uczuciem brałam do ręki te grube kaftany rybackie. Może ogrzeją chłopa polskiego przy wczesnej órce wiosennej.

Mam dużo listów pisanych ręką niewprawną, prostych i rzewnych. O tych Polakach tak dalekich, których nigdy nie zobaczą — mówią, jakby to był ktoś bliski ich sercu. Bo wśród ludu szwedzkiego żyje dużo istot przejętych nawskroś duchem Ewangelii. Stąd ta wrażliwość na cudzą niedolę.

Do ubrań często przypięte kartki: pozdrowienia, błogosławieństwa, słowa pociechy, ustępy z pisma świętego. Na jednej z nich napisano:

»O Boże, spójrz łaskawie na ten lud, spójrz, jak cierpi! Boże, zmiłuj się! — Tak modli się z głębi współczującego serca szwedzka kobieta, która we dnie i w nocy o Was myśli«. — 12 lutego 1916.

Moim wiernym »towarzyszem broni« była przy tej robocie opiekunka naszych dzieci, Anielka z Poznania. Lat ośmnaście i wielka ochoczość do pracy, głowa pełna ideałów i chęci służenia ludzkości. Dzięki temu usposobieniu dosyć prędko dałyśmy sobie we dwójkę radę z uporządkowaniem i wysyłką przeszło 2009 kg. odzieży z Uddevalli.

— Wielmożna Pani! Jutro musimy się zabrać wcześnie do roboty!

Zgoda. Zapał jest zaraźliwy.

Czasem przerwa na chwilę i rozmowa.

— Patrz. Anielko, czy to wysłać? To takie wypłowiałe?

— Wysłać, wysłać! Przyda się dla pastuchów.

(Zauważyłam, że dla »pastuchów« Anielka ma jakąś szczególną czułość.)

Pewnego dnia Anielka, pochylona nad głęboką skrzynią, zawołała uradowana:

— O, jakie tu śliczne rzeczy! Przy szyi biała koroneczka, przy ręku koroneczka, spódnica sukienna, peleryna i kapotka czarna, aksamitna, podszyta jedwabiem. Przyda się dla jakiej matki księdza proboszcza. Czytałam, że tyle probostw spalili.

Dobrze! Godzę się i na to. I już obie widzimy w myśli ową starowinę, która w naszej kapotce i pelerynie idzie z odbudowanej plebanii do odbudowanego kościoła.

Przed Bożem Narodzeniem śniły nam się po nocach wciąż worki z odzieżą. Więc rano takie przesłuchy:

— Anielko, ile ci się dzisiaj worków śniło?

— Piętnaście! A Wielmożnej Pani ile?

— Dwadzieścia cztery!

— O, to bogato! — lecz jej trochę przykro, że mi się we snach dała prześcignąć.



J. Graczyński, Poznań.

Raz Anielka spytała nagle:

— Wielmożna Pani! Czy to jest zdrowo marzyć? Bo Mania (jej towarzyszka) mówi, że to tak miło. Myśleć, to ja wciąż myślę. Ale nie wiem, jak się to marzy?

Zastanowiłam się.

Wreszcie zaczęłam: — Nieraz myślę nad tem, co się z naszym krajem stanie i jak sobie ludzie tam radzić będą. Bo niełatwa to rzecz wszystko odbudować i na nogi postawić. Wtedy mówię sobie: Jest nas przecież w Polsce jeszcze dużo ludzi. Gdybyśmy sobie powiedzieli, że będziemy żyć w największej skromności i prostocie, ubierać się w samodziały, jeść siadłe mleko w lecie a polewkę w zimie, to kto wie,... możebyśmy podołali.... I nie potrzebowali łaski i jałmużny innych narodów!

— Bardzo piękne myśli. Ale czyby Wielmożna Pani doprawdy chciała jeść polewkę całą zimę?

Milczenie.

— Widzisz, Anielko: to jest marzenie!



Bajka.

Dwóch braci u dwóch majstrów brało ciągle wały,
Wprawdzie niezasłużenie, lecz za to rok cały;
Krawiec Tomka kij dzierżył — u szewca Michałka
Za berło służyła pałka!
Nagle majstrów coś tknęło — i to w jednej chwili:
Okrutnie się poczubili!
Na to Tomek i Michał, wstępując w ich tory,
Wnet z sobą rozpoczęli dysputy i spory....
A czy wiecie też o co?... No! posłuchać proszę:
O wskórobrania rozkosze!...
„Kij! kij sękaty", — Tomek głośno woła,
„Po tygodniu trainingu nie boli nic zgoła!"
A Michał błaga: „Walcie co się zmieści!...
„Pałka, dalibóg! grzbiet mi tylko pieści!..."
Tomek brak kija miałby za niedolę —
A Michał wrzeszczy: „Pałkę stokroć wolę!"

I tak brat brata zagłuszyć się stara,
Odmiennych losów namiętną przechwałką!
Mnie się zaś widzi, że równa ich miara
„Nie kijem — to pałką."

Siemianice. *Marya Szembekowa.*

Bajeczka.

Napisałam bajeczkę — istne arcydzieło!
Cóż, kiedy na mnie fatum srogie się uwzięło?!
Nie każdy cenzor bowiem blask perły oceni —
W dowód czego — mą perłę mam dotąd w kieszeni...
Ale po co narzekać? wszak mówi przysłowie:
„Mądrej głowie dość na słowie".
Oto szlę dziś do druku, co z bajki ostało,
Wierząc święcie, że jeszcze okryje mnie chwałą!
Tytuł jej: „Fryc i Wojtek — Sąsiedzka przygoda —
(Tu — z punktu, brak dwóch wierszy. Rzeczywista szkoda!)
Dzieliła ich prócz miedzy, poglądów różnica:
Fryc mienił Wojtka osłem — Wojtek świnią Fryca:
Kłócili się zawzięcie — Fryc Wojtka prał srodze,
A Wojtek o swą skórę żył w śmiertelnej trwodze; —
Pierwszy z nich był mądrala — drugi prosty chłopek,
A zatem (ot! i znowu osiem rzędów kropek!...)
Nagle, roku pewnego cud się stał nielada:
Fryc Wojtka — wyjątkowo — kijem nie okłada,
Uprzejmie doń się zbliża — za rękę go ściska
I powiada: „Dość waśni!... Dajmy sobie pyska!..."
Wojtek na to: „I owszem! Jam do zgody skory —
„Cięgami uwieńczone obrzydły mi spory;
„Lecz wytłumacz mi, luby" —
Jednym rysem pióra,
Cały bajki epilog skreśliła cenzura....

Siemianice. *Marya Szembekowa.*



Z księgi tragedyi i łez.

Pocałowała dziecka jasną główkę, otoczoną złotemi kędziorkami, poprawiła zeszyt i rączkę, potem usiadła na swoim miejscu, na kanapce pod ścianą.

— A teraz pisz uważnie Adasiu! — rzekła, — staraj się, aby litery były wyraźne, duże i proste. Będę dyktowała, jak skończysz odpisywać....

Ośmioletni chłopczyk pochylił główkę nad zadaną pracą i cisza względna zaległa pokoik. Za to obok, w kuchni słychać było krzątanie się starej kobiety, która teraz musiała zastąpić kucharkę, opiekunkę Adasia, służącą do wszystkiego, a nawet czasem dozorować chorego. Dawniej było inaczej! Było życie bez troski i kłopotu, pełne gwaru, kwiatów i uśmiechów. A teraz? Teraz spuszczała się przed oczyma jak gdyby tajemnicza zasłona, po za którą nie widziało się nic, a mogły kryć się straszne i okrutne rzeczy. Więc był niepokój. jak zmora targający duszę, była obawa przed czemś złowieszczem, a nieznanem, był lęk i wieczne na ustach pytanie, co będzie?

— Mamusiu! — odezwał się Adaś.

— Co kochanie?

— Nie mogę pisać, bo taki hałas na ulicy. Pewnie znowu wojsko idzie!

Jakoż tak było istotnie. Najpierw szła muzyka wojskowa grająca marsza, od warczenia bębnów szyby aż drżały, potem ciągnęły pułki i kompanie, a za niemi jechały armaty. Ludzie i konie szli w porządku, linią, ujęci w karby dyscypliny i prawa. Na twarzach żołnierzy malował się spokój i rezygnacya, Nie było w ich oczach zapytania, troski, albo lęku, żadnej osobistej myśli. Nie wyglądali na ludzi, lecz raczej na składniki wielkiej, potężnej maszyneryi, która obracała niemi, myślała za nich i kombinowała. Więc zamknięte były ich dusze, na twarzach spokój, a nad niemi płynął niewiedzialnych orszak aniołów, wezwanych przez łzy matek i sióstr.

— Mamuś! Nie płacz! — prosiło dziecko, przytulając się do pani Maryi. Ona uśmiechnęła się doń przez mgłę wzruszenia i uściskała serdecznie.

— Nie płaczę kotku, nie płaczę dziecinko droga, tylko przypomniał mi się odjazd Wacka. Pamiętasz? w samym początku wojny.... Wtenczas nikt jeszcze nie wiedział, że tak długo potrwa, a to już tyle miesięcy! No, ale weźmy się do pracy synku!...

Wrócili na dawne miejsca, dziecko przy stoliku, pod oknem, ona naprzeciwko, na kanapce. Nie była ładną, ale w jej twarzy malowała się słodycz charakteru. Prócz tego miała wiele uroku, a z pod delikatnie zarysowanych brwi patrzyły przez siebie oczy głębokie i pełne wyrazu. Teraz, jej twarz powleczona była cieniem cichego smutku, który jest zwykle następstwem wielu przejść moralnych i staje się z czasem głównem tłem życia. Wojna, ta straszliwa burza światowa wstrząsnęła jej duszą i rzuciła szarość dokoła. Umilkł gwar, śmiech, wesołość, życie było coraz droższe i cięższe. Odeszła panna Matylda, nauczycielka chłopca, oddalono

Kasię i Jacentego, lecz wydatki wzrastały i trzeba było coraz więcej oszczędzać.

Mąż jej był ciężko chory. Nigdy nie cieszył się siłami i zdrowiem, do czasu jednak wojny, wśród wygody, spokoju, a nawet komfortu życie się jakoś wlokło. Ostatnie, wstrząsające wypadki i wieczny niepokój o syna powaliły go na łoże, a potem z dnia na dzień bardziej niepokojące wieści wyssysały resztki sił. Pani Marya była dzielną osobą. Wstawała ze świtem, sama szła na miasto kupować, uczyła syna, pielęgnowała męża, dawała dyspozycye, rachowała, oszczędzała, kręciła się to tu, to tam, ale było jej coraz ciężej i coraz smutniej. I chwilami, gdy nikt nie widział, obejmowała rękoma głowę i łkała.

Życie tymczasem wlokło się zwolna, dzień za dniem upływał, a nad ludźmi wysoko stała wciąż wielka, ponura tajemnica. Wojna nie kończyła się, lecz zataczała coraz szersze kręgi. Z miast zostawały gruzy, wsie zamieniały się w zgliszcza, a całe kraje w pustynie.

Pewnego dnia Adaś siedzący w dziecinnym pokoju posłyszał dzwonek w sieni, potem kroki, a następnie w pokoju matki rozmowę. Natychmiast pobiegł tam choć nie wołany, i wskrabał się na kolana matczyne. Pani Marya miała zaczerwienione oczy, choć mrugała niemi gwałtownie, usiłując połknąć łzy, a u wejścia stał żołnierz z miną niepewną i zaambarasowaną.



J. Graczyński, Poznań.

— Co się stało mamusiu? — zapytywał Adaś natarczywie.

— Wacka przywieźli dziecko! — odparła nieswoim, stłumionym głosem, — za chwil parę go tu przyniosą....

— Dlaczego mamuś?

— Bo ranny Adasiu. Ciężko ranny. A teraz idź kotku do twego pokoju i zmów grzecznie paciorek. Wacek jest bardzo chory....

Malec niechętnie zeskoczył na ziemię i wyszedł zwolna. Spełniwszy życzenie matki chodził jakiś czas po pokoju bezczynnie przekładając zabawki z jednego kąta w drugi, potem siadł przy swym stoliku, rozłożył jakiś stary, zniszczony zeszyt i skreślił te słowa, krzywem, dziecinnem pismem:

»Dziś jest środa. Mama płakała, bo Wacia przywieziono. Byłem u taty rano. Dostałem kawałek czekolady. Cieszę się, bo z Waciem będę się bawił w konie. Magdalena jest zła i wyłajała mnie przed obiadem«.

Ruch w sieni przerwał mu pisanie. Skoczył do drzwi i zobaczył jak kilku mężczyzn, żołnierzy, wniosło nosze, na których spoczywał Wacek. Usadowiono go wygodnie na fotelu, podłożono,

poduszki, okryto pledem. Pani Marya uśmiechała się do niego przez łzy, tuliła i pieściła, a czasem klękała przy nim i oparłszy głowę na poręczy trwała tak czas długi. Adaś stał w kącie pokoju z założonemi w tył rękoma i patrzał niedowierzająco na brata. Był milczący i posępny, tylko raz się spytał nieśmiało:

— To ty Waciu już nie będziesz chodził?

— Nie wiem! — Głos był monotonny, bez dźwięku.

— Ani się zemną bawił w konie, ani jeździł na rowerze?

— Pewnie, że nie! Ale czego patrzysz na mnie tak dziwnie?

— Nic, nic,... tylko.... mama płacze. a ja.... nie wiem.... Wybiegł pospiesznie z pokoju i rzucił się z łkaniem na swe łóżeczko. Wacek uśmiechał się smutno z domieszką ironii. A potem, kiedy gładził ręką włosy matki i szeptał jej do ucha ciche wyrazy, na twarzy, przedwcześnie zestarzałej, osiadła nieskarząca się, cicha, martwa rezygnacya.

Szare, jednostajne życie płynęło dalej. Jak do wszystkiego, tak i do tego przyzwyczajono się zwolna, że Wacław nie odzyska nigdy zdrowia, choć przy starannej opiece może żyć lata. Adaś uczył się jak dawniej, spoważniał i stał się milczący, ojciec jego gonił resztkami sił, a pani Marya biegała to tu, to tam, bez chwili odpoczynku. Było coraz ciężej. Mało co można było kupić, mało co dostawało się, trzeba było oszczędzać, od ust odejmować. W tym czasie w małym, zniszczonym zeszyciku znalazły się te słowa:

Mama poszła na miasto, ale już nic nie sprzedają. Wczoraj tata dostał resztkę wina. Na śniadanie wypiłem szklankę herbaty, a kromką chleba musiałem podzielić się z Wackiem. Podobno bitwa już blisko i nieprzyjaciele chcą oblegać miasto.«

Jakoż tak było istotnie. Huczały armaty gdzieś niedaleko, unosiły się w powietrzu aeroplany, niby wielkie, potężne ptaki, ziemia się trzęsła od ryku dział i strzałów. Do miasta zaczęto zwozić rannych, po ulicach latały automobile, ciągnęły wojska i oddziały sanitaryuszów. Na piąty dzień nadeszła wiadomość, że poniesiono klęskę, niedobitki cofają się, a nieprzyjaciel wężowatą linią opasuje miasto.

Zaczęły się teraz dni lęku, w powietrzu latały złowrogie ptaki, co chwila wybuchał pożar, lub dom się walił w gruzy. Powietrze przepełnione było hałasem, piekielnym łoskotem, wrzawą. Lęk i trwoga osiadły na wszystkich twarzach, mało kto wychodził z mieszkań, mało kto ukazywał się na ulicy. Kamienice wyglądały jak zmarłe, zastygłe w grozie.

W zniszczonym zeszyciku przybyło znowu zdań parę:

»Okropny huk i hałas, aż szyby się trzęsą. Nie śpimy już dwie noce. Tatuś jest bardzo słaby, a dziś był u niego ksiądz. Często leży zupełnie nieruchomo i tylko wymawia cicho jakieś wyrazy. Była tu wczoraj ciocia, która przyniosła mi ciastko, alem tak ciągle płakał z powodu taty, że jeść nie mogłem. Głodny jestem okropnie i smutno mi!«....

Przyszedł wreszcie czas największego napięcia i dramatu. Któregoś dnia przybiegł Adaś do matki rano i rzekł:

— Mamuś! Zimno w pokojach. Wacio musiał wziąć dwie kołdry.... Pani Marya patrzała na niego długo, jakby nie rozumiejąc. Jej twarz była zmieniona, szara, chwilami rękoma tarła czoło:

— Niema drzewa synku! — odrzekła, — jeśli ci zimno siedź w płaszczyku!

Na dworze było pochmurno i wietrzno. Około południa zaczął padać drobny, przenikliwy deszcz, który do potężnej, piekielnej muzyki przestworza łączył swój cichy, żałosny jęk, spływając po szybach i dzwoniąc po rynnach. Adaś chodzi z kąta w kąt bezczynnie, bo niemiał nawet z kim rozmawiać, mając na względzie drzemanie brata i przebywanie matki w pokoju chorego. Na obiad usiadł sam do stołu i widząc jedynie talerz zupy rozpłakał się.

— Czego beczysz? — spytał Wacław z drugiego pokoju.

— Bo mam tylko tę szkaradną zupę i nic, nic więcej! — krztusił się malec wśród płaczu.

— To i co! Dziękuj Bogu jeszcze. Inni nie mają ręki, albo nogi, albo stracili ojca, albo brata, męża, a tobie brakuje tylko chleba! Wstydź się płakać!

Coraz posępniej było w mieszkanku. Chory dogorywał męcząc się bardzo. Był tak biały i chudy, że można było policzyć żyły na jego rękach. Czasami leżał nieruchomo, a czasami stękał od bólów i majaczył w gorączce. Pani Marya pochyliła się, zgarbiła. Na wszystkich spoglądała chwilami mrugając oczyma, jakby usiłując przypomnieć sobie coś i kogoś; traciła pamięć, traciła rachubę dni. Czasami zamyślała się dziwnie, albo chwytała gazety i przeglądała je prędko, a wtenczas na policzki występowały plamy, czerwone wypieki.

Aż nadszedł dzień grozy, dzień końca. Rano dorwał się Adaś do pokoju ojca i wtuliwszy twarz w kołdrę płakał rzewnie. Z drugiej strony łóżka stała pani Marya i suchemi, nieprzytomnemi oczyma patrzała przed siebie. Był to cień dawnej osoby, tak wychudła, zgarbiła się, zbielała. Po pewnym czasie dało się słyszeć skrzypienie i do pokoju wjechał zwolna Wacław na swym wózku, popychany przez Magdalenę. Ręce miał złożone na derze, okrywającej nogi, oczy bezbarwne, zastygłe, na twarzy posępna martwota. Zaczynał siwieć i bujna czupryna, na skroniach już biała, dziwnie stosowała się do tego oblicza o starym, przeżytym wyrazie. A jednak chłopiec miał zaledwie dwadzieścia i pięć lat.

Chory miał wzrok utkwiony w suficie, w pewnej chwili zaczął coś szeptać. Obecni milczeli, nawet Adaś uniżył się, a Magdalena odeszła. Pokój zaległa cisza. Tylko od zewnątrz szły echa straszliwych łoskotów, piekielnych huków i długich, okropnych wstrząśnień. Pani Marya i Wacław nie mogli się zdobyć na modlitwę, albowiem ich myśl stężała i sami niewiedzieli za kogo się modlić, czy za tego chorego, czy za siebie.

Około wieczora ustał naraz grzmot i uczyniła się cisza, której nie przerwała ani jedna salwa. Po straszliwych odgłosach, od których trzęsły się mury i ziemia, ta cisza miała w sobie coś złowrogiego. Chory skierował wzrok na żonę:

— Co się stało?

Ale pani Marya nie miała czasu odpowiedzieć, bo chory począł rzężeć i rękoma coś chwytać w powietrzu. Więc zapaliła gromnicę i klękła. Myśli jej jak ptaki rozbiegły się na wszystkie strony i zostało tylko błędne koło i ciemność. A w tem zdało jej się, jakoby ktoś drzwi otworzył, głosem z bardzo daleka coś rzekł ponuro, a do jej uszu doleciały słowa:

— Miasto wzięte!

Więc padła na ziemię i zaszlochała poraz pierwszy od wielu, wielu dni.

Żądaj od siebie samego jak najwięcej — a stawiaj się zawsze w położenie tych, od których czegoś żądasz.

* * *

Możesz ogłupić wszystkich na czas jakiś, możesz niektórych ogłupić na zawsze, ale wszystkich na zawsze nie ogłupisz, bo zawsze się ktoś znajdzie, który się na tobie pozna.

Śliwniki. *Wincenty Niemojowski.*

* * *

Komu przyświeca dostojny cel, dla którego może cierpieć i walczyć, ten posiadł szczęście.

Poznań, 1 marca 1916. *Dr. Dobrzyńska-Rybicka.*



M. Wywiórski.

Jadwiga Galińska.

WIZJA.

Ręce na Krzyżu rozpięte —
Na głowie cierni korona —
To ona —
To Dusza Świata!
Umiera od ręki kata,
Krwią broczy...
Ponad nią w chmurnej roztoczy

Grom złyska i w ziemię bije,
słońce ucieka, twarz kryje,
A za nim gwiazdy w pogoni
Mkną precz — od ziemskich żądz toni...
Firmament pusty.
Nad światem
Noc, noc posępna, straszliwa!...

Noc teraz sędzią i katem —
Jak hijena wietrzy za łupem,
Tak ona za Ziemi trupem,
Bo Dusza Ziemi nieżywa!

Wypełzły z pieczar potwory,
Drapieżce rzucają nory,
I bezdna morz się otwarły...

. . . .

Żrą się — olbrzymy i karły.

. . . .

Nie ma już ojców i braci,
Tylko ofiary i kaci,
Tylko bój wściekły — o łupy!

. . . .

Trupy się walą na trupy...
Zgrzytają krwawe paszczęki,
Syn ginie od ojca ręki.

. . . .

Żadna już gwiazda nie świeci,
Już żadne zorze nie dnieją,
Już tylko żądze szaleją,
Tylko Nienawiść mózg wierci —

. . . .

Bój to ostatni — bój Śmierci!

. . . .

Ciemności wznosi się grzywa
Noc, Noc okropna, straszliwa!

Gdzie więc, dokąd się schronić,
Jak się przed Nocą obronić,
Ostatnia iskra gasnąca?...
Słońca! ach Słońca, ach Słońca!...
A na Krzyżu tam rozpięta
Dusza Świato umęczona,
Wyszarpnięta z Ziemi łona,
Czeka —
Zmartwychwstania Świata!

Lipsk, r. 1910.

Dyecezya chełmińska w roku wojennym 1807.

Kto bacznem okiem śledzi wszelkie objawy życia publicznego, temu tajnem być nie może, że prasa peryodyczna rejestrując i omawiając z obowiązku swego, odpowiednio do poszczególnych zadań, wypadki współczesne, lubuje się także w wywodach historyczno-porównawczych, mianowicie gdy chodzi o ważniejsze zdarzenia bądź żywiołowej, bądź politycznej natury. Objaw ten nie jest ani przypadkowy, ani zwyczajowy, lecz tkwi korzeniami swemi głęboko w umysłowości ludzkiej; dowodzi tego choćby psychika jednostki powołującej się chętnie na swoje i innych doświadczenia, sięgającej po argumenta dalszej nawet przeszłości, by poprzeć swoje zadania i rozumowania. Nie dziw tedy, że niebywała rozmiarami a nieobliczalna co do skutków wojna teraźniejsza wywołuje samorzutnie w czasopiśmiennictwie nie tylko historycznem wspomnienia dziejowe, zawierające podobieństwa do wojny samej i wszelkich towarzyszących jej okoliczności.

Na dnie tych dociekań porównawczych spoczywa głęboka troska o los i chęć wykrzesania z doświadczeń przeszłości iskry nadziei; wszak historya nigdy nie przestała być mistrzynią życia. Całe kraje doznały nieszczęsnych skutków obecnej wojny w większej lub mniejszej mierze, społeczeństwa skołatane, wytrącone z równowagi. Okres to przejściowy wprawdzie, lecz smutny, przejmujący uczuciem grozy. Ale wkrótce nastanie pora wysiłków odnowicielskich objętych terminem już ustalonym: odbudowa kraju. Myśl tęskniąc za upragnionym pokojem, przebiega obszerne dziedziny przeszłości, by otuchy zaczerpnąć z dziejowej prawdy, że bywały już podobne przewroty gwałtowne i upadki, z których przecież narody zwolna dźwignąć się umiały i że zwichnięte w nich organizacye oświatowe, społeczno-gospodarcze i kościelne znowu powstawały i świeżem zakwitały życiem.

Tej prawdy potwierdzeniem jest opis smutnego, prawie rozpaczliwego stanu dyecezyi chełmińskiej przed 109 laty, skreślony piórem ówczesnego biskupa dyecezalnego Franciszka Ksawerego Rydzyńskiego*), — opis dawny, ale dziś jeszcze dla nas aktualny, bo przypomina żywo ciężkie położenie większej części dyecezyi polskich i napawa zarazem uzasadnioną nadzieją, że czas i praca ludzka użyźnione błogosławieństwem Bożem, dokonają odrodzenia, i rany zadane wojną wyleczą, tak jak dyecezya chełmińska chociaż po dłuższym dopiero czasie powróciła do normalnego życia.

Rząd nowo utworzonego pokojem tylżyckim (9 lipca 1807) Księstwa Warszawskiego podejmując zaraz w początkach swoich tradycyę Sejmu Czteroletniego uwolnił włościan od poddaństwa. Aby dość nagłą tę reformę agrarną przeprowadzić bez wstrząśnień społecznych i gospodarczych, wystosował minister spraw wewnętrznych Jan Paweł Łuszczewski do biskupa Rydzyńskiego (prawdo-

*) Fr. Ks. hr. z Wrbna R. rządził dyecezyą od roku 1795 do śmierci 1814 roku. Poprzednio był sufraganem Poznańskim. Dla braku odpowiedniej rezydencyi w dyecezyi — zamek starogrodzki został za poprzednika jego rozebrany, a zamek lubawski był zrujnowany — zmuszony był mieszkać do śmierci w majątku swym dziedzicznym Nieżychowie pod Chodzieżem, mając przy boku swoim oficyała i jednego z kanoników. (Korytkowski, Prałaci i kan. gnieźn. III, 433.)

podobnie także do innych biskupów) pismo z wezwaniem, aby zwierzchnik dyecezyi podwładnemu sobie duchowieństwu polecił objaśnienie włościanom swobód otrzymanych. Biskup uczynił to na dniu 5 listopada 1807 r. tem skwapliwiej, że miał doskonałą sposobność przedłożenia równocześnie ministrowi krótkiego memoryału o stanie swojej dyecezyi.*)

Zaznaczywszy nasamprzód »niewypowiedzianą radość« z usłyszanego głosu ministra, wzywającego w sprawach Religijnych zdań i Pomocy Biskupów tak pisze dalej arcypasterz:

Przyciśniony na ostatek z iedney strony niedolą, z drugiey Łaskawością JWP Dobrodzieja ośmielony, oddawszy w obliczu Jego Duchowieństwu memu sprawiedliwość, poważam się smutny nader Los Jego teraźnieyszy sprawiedliwemu przedstawić Rządowi w niepochybnym zaufaniu, że nam zaginąć nie dopuści.

1°. Kapituła moia Chełmińska za dawnych czasów nawet zawsze

*) Kopia tego pisma znajduje się w archiwum kościelnem rumiańskiem (pod Lubawą.)



Kościół w Chełmnie.

względem innych uboga, po zaborze Dóbr y szczupłey z nich wyznaczeniu kompetencyi nayuboższa, teraz dla niedochodzącey Jey od 1 Września Roku zeszłego i tey słabey podpory a ponoszonych wszystkich ciężarów i ucisków woyny zupełnie zniszczona upadła.

2°. Plebani utraciwszy nietylko wszelkie zapasy, ale też siewy, Inwentarze, Ruchomości, a niektórzy Budynki nawet, muszący ponosić inkwaterunki, dawać Liwerunki i wszystkie inne ciężary dźwigać nie mniey jak chłopi, od równie zniszczonych Parafian swych żadnego nie mogący mieć wsparcia, jedni już poopuszczali, drudzy chcą opuścić kościoły.

3°. Seminaryum Chełmińskie, ta od dawna pod dozorem Szan. Zgromadzenia Missyonarskiego sławna szkoła godnych Pracowników w winnicy Pańskiey, dla niedostatku subsystencyi rozpuszczone, ubogiey prócz tego Dyecezyi w Xięży zupełnym ich niedostatkiem grozi.

4°. Trzy klasztory zakonnic w Chełmnie, Toruniu i Grudziądzu, które dawniey z Dóbr, późniey częścią z kompetencyi, częścią z kapi-

talików w kassach krajowych kwidzyńskich i gdańskich umieszczonych utrzymywały się biednie, teraz nieodbieraiąc znikąd ani Prowizyów ani kompetencyów, stopiwszy iuż nawet niektóre sreberka kościelne, na których sprzedanie pozwolić im musiałem, iedne z głodu umieraią, drugie z niebezpieczeństwem dusz i zgorszeniem wielu tułaią się po świecie.

5°. Nakoniec ia Biskup 74-letni, nieszczęśliwy starzec łożywszy dawniey cały maiątek móy oyczysty i trzy części życia mego na dobro y usługi publiczne, dziś będąc już blizkim grobu, dla niedochodzącey mnie znikąd kompetencyi, dla straconych przez woynę wszystkich zgoła zapasów, dla zupełnego mego i wioski, w której mieszkam, ile na naywiększym militarnym trakcie leżącey zniszczenia zostaię bez sposobu życia, gdy tymczasem kolledzy moi w prowincyach prędzey oswobodzonych iuż od pół roku tego porządne swoie odbieraią należytości. Okropny stan, o którym pomyśleć, cóż dopiero pisać bez zadrżenia nie mogę! Stan, który kogo innego świętą nie rządzącego się Religią już by był dawno w ostatnią rozpaczy wtrącił przepaść. A który im jest okropnieyszy, tym prędzey łaskawe sprawiedliwego Rządu zwrócićby powinien na nas względy. Co nastąpi niepochybnie, gdy tylko JWP Dobrodziey pierwszy nam daiąc dowód wielowładney Swey Opieki następuiących Prozb uskutecznienie wyiednać nam raczysz.

Do nru. 1. 3. 4 y 5°. Aby Kapitule, Seminario, klasztorom i mnie — od tego czasu począwszy, którego się Dobra niegdyś nasze w Woiewodzwie Chełmińskim i Ziemi Michałowskiey leżące nikomu nie darowane, ale skarbowi Publicznemu całą Intratę swoię oddawające, pod Administracyę Rządu teraźnieyszego dostały, kompetencya kwartalnie i poprzedniczo iak za przeszłego Rządu wypłacana była. I aby tak Szpytal Inwalidów Xięży Świeckich jak Kapituła, od tych kilku włók przy Chełmży, które dawniey Prawem własności, teraz zaś Prawem wierney Dzierżawy — na Erbpacht trzyma, prócz postanowionego kanonu od wszystkich innych danin i Ciężarów Publicznych tak iak za przeszłego Rządu wolną była.

Do 2°. Aby Plebani z 4 włók plebańskich przy każdym kościełe jako jedynego ich funduszu — ile że w Dyecezyi Chełmińskiej Dziesięciny nie znayduią mieysca, a meszne bardzo szczupłe i prawie nic nie znaczące jest tylko w zwyczaju — od Danin i wszelkich Ciężarów Publicznych tak byli wolni, jak za Rządu Pruskiego; od innych zaś, któreby mieli nad cztery, kontrybucyę tylko postanowioną płacić, nie zaś inne Ciężary ponosić, których za przeszłego Rządu nie ponosili, byli obowiązani. Ta to Instrukcya niech czymprędzey Izbom Administracyinym i wykonawczym dla tego dana będzie, żeby te tego i przeszłorocznych wojennych gwałtownie na Plebanów narzuconych Ciężarów na przyszłość Bóg day! spokoynieyszą i szczęśliwszą, za Prawidło nie brały.

Tudzież — aby przy wydarzaiących się wakansach Beneficiów kollacyi Rządowey na podanych i zaleconych tylko od Biskupa kapłanów jak do tych czas zachowywało się, łaskawy wzgląd był miany, Biskupa zaś jako naylepiey Duchowieństwo swoje znaiącego świętym będzie obowiązkiem, za podupadłe Beneficia takie dobierać Subjekta, któreby przy innych Przymiotach chciały i mogły je podźwignąć.

Na ostatek — Aby wstępujący na Beneficia Plebani do opłaty czwartey części jednoroczney z nich Intraty — o czym za przeszłego Rządu nie słyszeli nawet, — pociągani nie byli, ale miernie tylko do kancellaryi zapłacili Szportuły.

Te są pokorne proźby moje, które przez Ręce JWP Dobrodzieja u Tronu Nayiaśnieyszego Pana składam, pewnym będąc za Posrzednictwem Pańskim miłościwego wysłuchania, które znalazłszy, dozgonnie wraz z Duchowieństwem moim przed Bo-

giem i światem wdzięcznym będę, równie jak z wysokim upoważeniem jestem.... *Rydzyński*."

Podaliśmy powyższe pismo w całej prawie rozciągłości, aby nic nie ująć z głębokiego wrażenia, jakie sprawia, i z doniosłości jego jako dokumentu historycznego z czasów przełomowych, podobnych do chwili dzisiejszej.

Minister odpowiedział d. 17. listopada, że »w dniu dzisiejszym zalecił Izbie Administracyi Publicznej Departamentu Bydgoskiego »aby natychmiast w ten weszła Interess i dokładną o wszystkim zdała sprawę«. Dalszy tok rokowań nieznany, wątpimy atoli, czy biskup zdołał uzyskać poważniejsze ulgi i korzyści dla duchowieństwa. Czasy nie były zgoła po temu. Skarb krótkotrwałego, wyzyskiwanego przez Napoleona Księstwa Warszawskiego był w opłakanym stanie pogorszonym jeszcze przez wojnę z Austryą w r. 1808, w czasie której także plebani nadzwyczajne ponosili ciężary i płacili podatki*); nadto rząd Księstwa nie był przychylny Kościołowi, szczególną zaś niechęcią do niego odznaczał się prefekt Departamentu Bydgoskiego Antoni Gliszczyński. Za czasów pruskich, w porze depresyi ekonomicznej, gdy dyecezya przebywała nietylko terytoryalne przeobrażenie, ale i wewnętrzne przesilenie, trzeba było długich lat cierpliwej pracy, nim się stosunki ustaliły. Ale praca się powiodła i w pół wieku mniej więcej po opisanych wypadkach, normalny — jak na stosunki nowoczesne — stan został przywrócony.

Ks. Alfons Mańkowski.

*) Grożono plebanom sądem i aresztem wojskowym, gdyby się wzbraniali stawić szeregowych. Trzech pl. stawiło jednego, który ich kosztował 147 talarów. (Por. zapiski współczesne ks. Druszkiewicza ogł. w Zap. Tow. Nauk. Tor. tom III str. 86.)

AFORYZMY.

Wojna pomimo wszystkich swych okropności bywa zawsze znamieniem żywotności narodu.

Często klęski zacieśniają ogniwa łączące naród więcej niż zwycięstwa.

* * *

Szlachta wielkopolska dając na sejmiku w Srodzie instrukcye posłowi na sejm poleciła mu dbać o to, „by naszej braci dyssydenckiej nie działa się krzywda."

Poszanowanie cudzych przekonań będzie zawsze znamieniem wysokiej kultury społeczeństwa.

Gniezno. *Antoni Karpiński.*

* * *

Jeśli naród chce się odrodzić, nie wolno mu głosić wzniosłych i górnych haseł, za któremi nie idą czyny....

Jadwida Jaworowiczowa.

* * *

Wszystkie dzielnice polskie Zaboru pruskiego zgodne są w jednem to jest w dobroczynności. — Wszelkie dotychczasowe cele ustąpiły jednemu wielkiemu celowi t. j. wspieraniu ofiar wojny.

Olbrzymi udział w tej pracy owocnej biorą nasze kobiety. Rzec można, że prześcigają się w pomysłach ofiarowania swej pomocy . . . .

. . . .

Proszony, aby napisać parę słów, do wydawanej przez jedno z ich stowarzyszeń Jednodniówki, na rzecz bezdomnych, korzystam ze sposobności, by podnieść ich pracę olbrzymią a w skutki doniosłą. Niech mi wybaczą, że piszę słowa pochwały ale są one tylko słabą nagrodą za ich dzielność, poświęcenie i trud.

Kazimierz Brownsford.



Do kobiety.

Chcesz być lubioną, chcesz
być zrozumianą,
Przeniknij bliźnich serca
i pragnienia,
Nie zraź się dziwną czasem
u nich zmianą,
Pojmując wszystko, ucz się prze-
baczenia!
Chcesz być kochaną, kochaj całą duszą,
Twoje promienia przenikną ciemności,
Na które serce padną — to przymuszą,
By z nich czerpało ciepła i światłości.
Chcesz być szczęśliwą, to szczęścia
udzielaj;
Dla wybranego poświęć całą siebie,
Chcesz być wesołą, drugich rozweselaj —
Nie chcąc znać nudów, przy każdej potrzebie,
Staraj się drugich zabawiać wesoło,
A przy tem własne rozpromienisz czoło.

Marya Kwilecka.

Mojej dziewczynce.

Śpij dziecko, śpij!... Już miesiąc śniegi bieli,
A szczyty Alp błękitnym blaskiem płoną —
Oczęta zmruż, wtul główkę do pościeli,
I śpij, i śnij! W noc górską rozmarzoną!
Niech ci się śni rodzinna wieś w oddali,
Do której wciąż powracać chciałaś z płaczem,
Szeregi chat — i nasi chłopi biali —
Niech ci się śnią — po paśmie dni tułaczem!
Niech ci się śni ten dom nasz ukochany,
To rzędem szyb patrzące w dal poddasze,
Splotami róż opięte białe ściany,
Co tyle lat widziały szczęście nasze!
Na chwilę wróć w słoneczne twe podwoje,
Gdzie każdy kąt pamiątkę mieści miłą,
Wyszukaj znów zabawki dawne swoje,
I ciesz się im!... Tak długo cię nie było!...
I w ogród zejdź, poranną rosą zmyty —
Tam czeka cię dni lepszych otoczenie,
Kwitnące bzy, trawników aksamity,
I starych lip piętrzące się sklepienie...
Pod gruszą siądź, rozejrzyj się dokoła:
Wdzięczą się ci znajomych kwiatów grzędy —
Przez gęsty sad ogródek twój cię woła:
Tak dawno już nie przechodziłaś tędy!
W paciorku swym, co wieczór od miesięcy
Modlisz się wciąż o powrót w nasze strony;
Niechże Bog da duszyczce twej dziecięcej
Choćby przez sen powrócić w raj stracony...
Napatrz się, śnij!... Rozgorzał miesiąc złoty,
I szczyty Alp coraz to jaśniej płoną...
A w cieniu drzew moc czai się tęsknoty...
O śpij! O śnij! W noc górską rozmarzoną!...

Semmering 1915. *Jadwiga z Szembeków Szeptycka.*

Marja Kantakówna.

W rupieciarni.

(Wspomnienie z Carskiego Sioła).

Wnętrze starego strychu książęcej daczy, gdzie nikt nie zagląda, pełne jest cienia i tajemnicy.

Nie dochodzi tudotąd słońce ani błękitnej poświaty rzuci zorza syberyjska, rozświetlająca wszystkie kąty domu w srebrzystej nocy.

Okienka małe z mętnego szkła szczelnie są zamknięte, nie dopuszczają żadnego rzeźwego oddechu powietrza.

Wzrok z trudem przywyka do panującego półświatła i z trudem rozeznaje przedmioty.

Od pułapu do podłogi zwieszają się sieci szarej pajęczyny w bajecznie zapylonych strzępach, tu i owdzie suwają pająki, w ucieczce przed nieoczekiwaną stopą ludzką.

Całe poddasze przebiega ogromna krokiew, najeżona gwoździami. Szczytem dotyka pułapu, a kończyną opiera się na ziemi. Tak przecinając wnętrze tworzy dwa prawie równe trójkąty.

Jest z drzewa dębowego — cząstka może prastarego, sędziwego dębu, których długie szeregi o szlachetnych pniach, dumnych koronach — zapewne bracia i towarzyszy — przystanęły po alei i trawnikach parku, otaczając letnią, książęcą siedzibę.

I może były te dęby niemymi świadkami niejednej zawiłej zagadki pałacowej i kto wie, czy nie kryją w sobie dostojnych pamiątek kilku pokoleń dawno pomarłych.

Nietylko one.

Bo we wszystkich rupieciach, porzuconych na poddaszach, jest jakoby cząstka żyjąca ludzi już nieistniejących, jakoby przypomnienie dawnych, ubiegłych czasów.

Mnóstwo przedmiotów — chaos prawdziwy — uczepiło się tego niegdyś możnego ramienia dębu.

Ujrzysz tu najrozmaitsze drobiazgi.

Oto zaraz na wierzchu leży cudaczny kokosznik, strojny w kwiaty i barwiste wstęgi, dalej pomięta chusta kaukaska z przesubtelnej, pajęczej tkaniny. Niegdyś zapewne 'ozdoba wdzięcznej dziewczęcej postaci, dziś same strzępy i dziury.

A któż dowie się kiedykolwiek o przeszłosci tego oręża wysłużonego o misternie rzeźbionej rękojeści i ostrzu wyszczerbionem?

Są tam przeróżne rupiecie, zmieszane w niezwykłym nieładzie, więc skrawki gobelinu i koronki, fragmenty złoceń ściennych, rynkgraf złamany na dwoje, z prześlicznym wyobrażeniem Kazańskiej Matki Boskiej.

I halsztuch z frendzlami i wypełzłe jedwabne róże.

I gitara bez strun o smukłym kształcie wygiętej liry.

Ileż to rąk pieszczonych i smutnych dotykało instrumentu, wtorując śpiewem sentymentalnej ballady i staroświeckiej romancy.

Na samym spodzie pośród gałganków i strzępów znajduję wachlarz w stylu wczesnego cesarstwa.

Z różowego atłasu i koronki zachował miejscami w zgięciach dawniejszą różaną barwę.

Ujęty w połamane patyczki z kości słoniowej przedstawia jeszcze jako tako całość.

Biorę do ręki, a podchodząc do okna oglądam uważnie z bliska.

W samym rogu tuż pod inicyałami zapewne właścicielki widnieje napis trochę zatarty:

Qui pleure et soupire et mène grand doulour
Las! Il n'a nul mal qui n'a le mal d'amour.

A niżej drobnemi literkami:

Alexandre 1805.

Z wachlarzem w ręku otwieram okienko — wzrok wybiega w carskie parki, a myśl cofa się o stulecie, wywołując dawne, minione obrazy.

Uchyla się rąbek romantycznej historyi.

Osoby: jakaś księżniczka Ksenia czy Miła, szczupła i złotowłosa i on wytworny i królewski młody Alexander Imperator.

Ale księżniczka nie wzięta z jakiegoś ściśle określonego wieku, bo księżniczki rosyjskie w rzeczywistości nie bawiły się zgoła w sentymenty. To romantyczka, z ballad Żukowskiego, taka, która w poezyi kocha i marzy.

I nie potrzebaby nawet lepszej sceneryi niż tutaj w parku, widownia nadaje się doskonale.

Samotny zakątek. Ławeczka z darniny, ukryta między grupą dębów rozłożystych, (jeden z nich właśnie ten, który dostarczył na krokiew materyału) a u stóp kobierce z traw i kwiatów, biegnące w dal het jak okiem sięgniesz.

Ksenia i Alexander są w strojach z wczesnego empir'u.

Ona w wąziutkiej, różowej sukience o krótkim stanie, bufiastych rękawkach z koronkową kryzą koło szyi, na którą spadają włosy w złocistych puchach — trzyma owe sztuczne, jedwabne róże w ręku.

Widzę ją taką jak na miniaturze w Ermitażu, jakoby zeszła z porcelanowego obrazka.

On w błękitnym fraku, żółtych pantaljonach i wysokim, jedwabnym alsztuku.

Oto oni.

Tak wyglądają.

I oto cesarz siedząc niedbale na ławeczce kreśli słowa na wachlarzu, a pierścienie błyszczą niby gwiazdy na białych, smukłych palcach.

Teraz marzące jego oczy błądzą po klombach, spoczęły na chwilę na blado-listnych margeritach i srebrem centkowanych szałwiach, wreszcie zatrzymały się na dziewczęcej postaci księżniczki.

I słyszę słowa:

— Niema większego nieszczęścia nad miłość. Jak duch niewidzialna zjawia się niespodzianie, bez wiedzy i woli człowieka — odchodzi kiedy chce i nie ma sposobu ująć jej ani zatrzymać.

Wówczas rzecze Ksenia:

— Nie wszelka miłość jest nieszczęściem — nieokreśloną, przelotną, która zjawia się i ginie, gdyby złoty pył w przestrzeni, nazywam kaprysem — nieszczęściem jest miłość, co nie zna spokoju, błądzi po przez dalekie krainy przeczuć i nadziei i zamiera z tęsknoty, że nie zdoła rozgorzeć w potężnym płomieniu jednego, wielkiego uczucia.

Na lica młodzieńcze cesarza wybiega łagodny pół-uśmiech, ujmujący wagi przyciężkim słowom, ruchem miękkim, kobiecym rozwinął wachlarz, zapatrzył się przez chwilę w różowe arabeski jedwabiu, zaczem podjął znowu:

— Miłość ogromna, płomienna piękną jest chyba we wyobraźni i pociąga tylko marzenie. Skoroć się zda, że otworzy wrzeciądze zaczarowanych światów i na jakieś niebotyczne, słoneczne zawiedzie wieżyce, to marzenia nieskończoność gubi się w rzeczywistości. Z każdą minutą traci jeden z promieni, oświetlających niby gloryą sny wczesnej młodości i niknie. Wzajemnie kochający poznają tylko pospolitą, trywialną stronę miłości, miłość nieszczęśliwa odkrywa nam swoje uroczyste tragedye.

I mówią długo cesarz i księżniczka, czasem z tęsknotą a czasem z goryczą.

Lecą słowa pełne zwątpienia i smutku, słowa z którymi niema słońca, ani radości życia...

Jedno drugie przekonywa napróżno.

Nakoniec powstają obie postacie i giną w krętych alejach parku.

A śliczna była Ksenia z wyrazem sentymentu w oczach. Do około ust czaił się uśmiech radosny zgoła niestósowny do treści rozmowy, a w słowach drgały pieszczotliwe tony, jakoby dzwięk owej gitary zepsutej bez strun, migotał nieuchwytny żal za czemś, czy do kogoś.

Przez chwilę wydaje mi się jeszcze, że ich widzę, tak, ukazują się sylwetki z poza drzew.

I teraz cesarz schyla się i zrywa stokrocie, zaczem podaje Kseni kwiaty. Księżniczka obrywając margeritkę wskazuje na wachlarz, spoczywający niby egzotyczny kwiat na ławeczcze, i mówi żywo coś, czego nie słyszę.

Wizya znika. Park opustoszał.

Słońce złotą, misterną koronką pokrywa drzewa, na spokojnym niebie chwieją się obłoki, podobne do falistych pian. Pozostał tylko jakiś zapach nieokreślony zasuszonego ziela, zapach niedomówionych słów dalekich, cudnych, majowych przeżyć...

Po poddaszu suwają się pająki, chroniąc się przed okiem ludzkim.



Stary wykusz przy kościele św. Katarzyny w Poznaniu.

Od pułapu do podłogi zwieszają się zapylone pajęczyny w bajecznych festonach, a krokiew najeżona gwoździmi przybrała jakiś groźny wyraz.

I podczas kiedy z oczyma utkwionymi w zrąb budynku dumasz nad znikomością rzeczy ludzkich nie możesz sobie wyobrazić ani nawet przypuścić do czego ma ochotę ta krokiew ogromna z całą upoetyzowaną zawartością — oto . . . . chce spaść całym ciężarem na twoją romantyczną głowę.

Błogosław tęsknocie!

Skarzysz się, — że dusza twoja wyciąga ramiona tęskniące za światy, — i goni i tęskni, — tęskni i pyta?

Błogosław tęsknocie.

Jeźli pokochasz kobietę, w której duszy, jak w czarze wonnej Bóg piękności zamknął, — za miłość kwiat od niej otrzymasz. Kwiat wiecznie żyć będzie w twem sercu i żywić się będzie krwią twoją — kwiat tęsknoty.

Jeźli Stwórcę pokochasz, który co dnia odradza się wkoło ciebie w słonecznym majestacie, że oczy przed światłem stworzenia przysłaniasz, — za miłość kroplą po kropli sączyć ci będzie do duszy — tęsknotę.

O błogosław tęsknocie!

Jarogniew Drwęski.



I.

Z dnia dzisiejszego.

(Wyjątki z notatnika.)

Mroźny dzień. Po nad śnieżnemi polami, wiatrem w krótkie fale pooranemi, zachodzi wielka malinowa tarcz słońca. Jest ona tak ciemna w tonie, że wydaje się tylko kolorem, nie światłem. To też zakrwawiły się jej odblaskiem jedynie ołowiane, groźne chmury na widnokręgu, podczas gdy krajobraz cały pozostaje siny, jak gdyby go czerwone słońce nic nie obchodziło.

Na bezbrzeżnej, błękitnawej płaszczyźnie odcina się ostro czarny krzyż przydrożny. Wyciąga ramiona, jak gdyby chciał osłonić tę śnieżną krainę: bo dawniej mówiono, że taki zachód zwiastuje wojnę.

Dziś — już tego zwiastować nie może....

* * *

W górach bawarskich. Zamieniam nieraz kilka słów ze starym, wiejskim listonoszem. Skarży mi się na ciężką służbę. »Tak«, wtrącam, »oddalenia wielkie, góry strome, a nogi niemłode!« »Nie to! ale mnie przypada obowiązek zwracania rodzinom rzeczy znalezionych przy poległych, listów i paczek, które późno doszły. Bywa to zarazem pierwsza wieść o śmierci.... Nie mogę już patrzeć na te łzy. O ile się da, składam wszystko przed drzwiami i uciekam.«

* * *

Zdaje się, że na czas wojny — egoizm ludzkości, — ale zarazem jej zdrowy rozsądek, zostały zawieszone.

* * *

Z mego wysoko położonego hotelowego okna, sięga wzrok daleko w noc ciemną. Nademną niebo gwiaździste. W oddali majaczeje wielkie miasto; u mych stóp rozpościerają się jakieś kolejowe tereny; pomiędzy krzyżującemi się zewsząd szynami, świecą

fantastycznie rozsiane, niezliczone latarnie. Zda się, że drugie niebo gwiazdziste rozpostarto mi przed okno! Wpatruję się w nieznane konstelacye tego nowego firmamentu i śledzę za błyskawicami długich pociągów, które przelatują, otoczone srebrnemi chmurami dymu. Myśl — goni w dal za pędzącemi. Pełne szczęku broni i młodych żyć, które przyjdzie tam gdzieś położyć. Spieszą w stronę mojej ojczyzny! Co tam zaniosą?

Czy tylko śmierć i wojenną pożogę, — czy też nowe życie, lepszą przyszłość?

* * *

Było w klinice monachijskiej, nazajutrz po przebytej operacyi. Leżałam wpółsenna, odurzona jeszcze morfiną i patrzałam bezmyślnie w jasny otwór okna; przed szybami przeleciał cień, błysnęły błękit i biel bawarskiej chorągwi. »Co to jest?« zapytałam lekarza, »jakieś zwycięztwo?« »Warszawa zdobyta«, odparł, jakgdyby był wymienił pierwszą lepszą twierdzę. — A mną wyrazy te wstrząsnęły. Serce zabiło gwałtownie. Warszawa! serce Polski, głowa Polski, wiecznie żywa, wielka jak epopea, raz jeszcze skrwawiona Warszawa! Czy cudem ocalała jej szata wiekowa, czy jej wiekowa, czy jej królewska wspaniałość nie legła w gruzach od kul lub ognia? Dziś czwarty sierpień 1915, — powtarzałam — pierwsza znowu pamiętna data historyi polskiej. Jakim głosem będą tę datę wspominały przyszłe pokolenia? Czego ona się stanie podwaliną?

Trzy dni rzucał mi wiatr w okna chorągiew, w fałdach której kryło się tajemnic tyle. Wśród snów gorączkowych przemawiała do mnie owa zdobywczyni — uspakajała, obiecywała, — a ja jej opowiadałam o Zamku, o Łazienkach, o dumnej stolicy.

Tak przeżyłam wpół we śnie, wpół na jawie wzięcie Warszawy.

Marya Kościelska.

II.

Z MINIONYCH CHWIL.

(WYJĄTKI Z NOTATNIKA.)

Dojrzałam za dnia na moim balkonie sieć pajęczą i już ją usunąć miałam. Wieczorem jednak operliła ją rosa i przemieniła szarą przędzę w misterną koronkę z brylantów i blasków, nanizając błyszczące perełki na każdą niewidzialną niteczkę. — Więc stałam zdumiona i pełna podziwu przed nagle odkrytem arcydziełem. Czyż tak samo objawienie łez nieraz nie przeistacza niepozornej ludzkiej duszy, odsłaniając tajemne, subtelne uroki?

* * *

Nasze dzwony dźwięczą jak modlitwą rozkołysane, tętniące serca ludzkie; — dzwony cerkiewne, — jak spadające na metal, ciężkie łzy.

* * *

Umysł człowieka cywilizowanego gości tak sprzeczne przekonania i upodobania, że doszłoby do poważnych starć między powaśnionemi rzeszami, gdyby nie były one wszystkie, na szczęście, z lekka anemiczne. Starczy więc nieco zdrowego rozsądku, przy-

prawionego szczyptą ironii, by uniknąć kompromitujących zajść. Owa zgoda jest właśnie tem, co się zwie ucywilizowaniem.

* * *

»Wszystko mija, każda prawda jest względna, tylko w nauce spoczywa nieśmiertelna, bezwzględna prawda.« Tak mawiał przed wieki uczony starzec. A ten mędrzec był alchemikiem.

* * *

Czemu przypisywać fakt, że dziś niemłode kobiety podobają się jeszcze? Czy wypływa to ze spotęgowanej roli duszy w miłości, albo czy poprostu, kobieta wraz z innemi prawami, nie wywalczyła sobie i tego prawa, by nie mieć zawsze szesnastu latek?

* * *

Poczucie krajobrazu zrodziło się na północy, bo tam znamy jego cenę. Ludy południowe są podobne do dzieci wychowanych w przesadnym zbytku; my oceniamy każdy rzadki kęs piękna.

* * *

Jak dziwnie uroczyście wyglądają kasztany okryte kwieciem! Kto wie, może budzą one w nas ów nastrój świąteczny dlatego, że bezwiednie przypominają nam choinki ustrojone na Gwiazdkę w sterczące, białe świeczki.

* * *



Graczyński, Poznań.

Czarne irysy, to jakby tajemnicze kwiaty z bajki. Zda się, że ich delikatne płatki to popiół, — popiół trzymający się jeszcze w świstkach, po spalonych listach miłosnych.

* * *

Jesienny, słoneczny dzień na wsi zadziwia zawsze pięknością i blaskiem, jakgdybyśmy nie mieli prawa spodziewać się takiej świetności od swojskiego krajobrazu. W przezroczystej atmosferze zarysowuje się wyraźnie każdy szczegół, wychodzi prawie brutalnie każdy ton. Tony wprost nienaturanlne: złociste, bursztynowe, rdzawe, ogniste. Skromna skądinąd brzoza króluje tu, narzuca się oczom. Przed jej złotym wodotryskiem, spływającym wzdłuż srebrnej kolumny pnia, cofają się nieco w głąb obrażone lipy i kasztany, podczas gdy czarne świeczki, czekające cierpliwie na swe zimowe panowanie, na razie, bez pretensyi, użyczają swego ciemnego tła rozpasanym kolorom. Panoszy się więc brzoza na zrębie lasu, ziemia się pokrywa wzorzystym dywanem, stroją się ganki domostw wiśniowemi liśćmi winogradu, kwitną ogródki skazanemi wkrótce na zagładę barwami. Nawet gęsi, nie pomnąc na rzeź Św. Marcińską, świecą nad metalem kałuży nietkniętą bielą.

A lud wiejski krząta się koło budynków wesoło, leniwie, — wszak pracy mało!

Napawam oczy tym obrazem i odczuwam wyraźnie, że letnia zieleń to strój powszedni natury — to jej zgrzebna koszula; — jesienne złoto i purpura zaś, to szata świąteczna zbytkowna, prawie pyszałkowata. Krajobraz cały woła: niedziela!

* * *

W każdym z nas gnieździ się tyle dusz odmiennych, że trudno nam zaznać szczęścia zupełnego. Zawsze się znajdzie jakaś dusza upośledzona, która się swej cząstki nadaremnie domaga.

* * *

Od ludzi bez moralnego poczucia wymagajmy przynajmniej obłudy, tak jak się narzuca chorym antysepsyę — ze względu na otoczenie.

Dziecko tłucze kunsztowną zabawkę, by zaspokoić ciekawość, — człowiek — dojrzały wysila umysł, by dotrzeć jej tajemnicy, — a dopiero artysta życia ochrania ją starannie, by przypadkiem nie odkryć misternej sprężyny i nie utracić radości jaką czerpał z zagadki pięknego cacka.

Marya Kościelska.

Tylko prawdziwa wielkość duszy umie być pokorną —
Tylko prawdziwa pokora umie być wielką.

Marya Mieczkowska.

* * *

Rodzice są zwykle najdumniejsi z najmłodszego dziecka, tak jak autor z ostatniego dzieła. Niech nikt ich nie śmie posądzać, że dzisiejsza produkcya nie dorównywa poprzednim.

* * *

Radzę usilnie dwudziestoletnim autorom, by swych bohaterów obierali z wieków średnich. Z psychologią tej epoki są oni tak samo obeznani, jak my, starsi.

* * *



Arch. Stan. Mieczkowski. Mała Kołuda, własność pp. Działowskich.

Przy zbiegu ulic przedmieścia stoi krzyż. Stał on niedawno w polu na rozstajnych drogach. Dziś objęło go miasto zgiełkiem i wtłoczyło między domy szare. Stoję przed nim, patrzę na rozpięte ramiona, podobne do skrzydeł ptaka, zrywającego się do lotu, — i rozumiem, że ludzie budują strzeliste kościoły Bogu i wysokie wieże, — a krzyże samotne modlą się wśród pól. *J. D.*

Madonna di S. Sisto.

„Fece ai monaci neri di S. Sisto in Piacenza la tavola dell' altar maggiore, dentrovi la nostra Donna con S. Sisto e S. Barbara, cosa veramente rarissima e singolare". Oto wszystko, co nam biograf artystów toskańskiego renesansu, Giorgio Vasari, w swoich „Vite" o tem arcydziele Rafaela powiedział. Krótkie to, lapidarne wspomnienie zadziwi tem więcej, że nad innemi dziełami mistrza, jak np. nad jego „Madonna di Foligno", rozwodzi się obszernie, opisując dokładnie całą kompozycyę. Na pierwszy więc rzut oka zdawaćby się mogło, że naszego biografa malowidło piacentyńskie wcale nie zachwycało. Dokładne jednakże zbadanie słów jedynego tego zdania, które o Sykstynie wyrzekł, przekona, że tak nie było — przeciwnie wywoła w nas wrażenie, jakoby Vasari nie śmiał suchym opisem obniżyć nieopisanego uroku malowidła „prawdziwie niezmiernie rzadkiego i jedynego".

I znów, kiedy wspomnimy na fakt, jak lekkiem sercem pozbyły się Włochy jednego z najwspanialszych dzieł rozkwitu swego malarstwa, nie oprzemy się wrażeniu, że go nigdy, jak należy, cenić nie umiały, mianowicie, że i w literaturze czasów porafaelawskich dość głucho o niem. A przecież natchnione ottave rime Don Felice Passera („Sito, lodi e prerogative del Riverendo Monasterio di S. Sisto di Piazenza" 1593), w których powiada, że obrazu Rafaela nigdy dotąd należycie nie chwalono, dowodzą nam, że we Włoszech, zarzuconych dziełami pierwszych mistrzów świata pamięć o malowidle rafaelowskiem trwała i żyła. W ostatniej zaś chwili jeszcze, kiedy perła ta wizyonerskiej sztuki mistrza przefrymarczoną być miała, podniósł głos swój Conte Alberto Scribani Rossi, przewodniczący, Supremo Cousiglio w Piacenzy, który jako znawca rozsądzić miał dla ministeryum ks. Filipa parmeńskiego sprawę, wywozu Sykstyny do Drezna. W słowach stanowczych i dobitnych oparł się frymarce, kończąc wywody swe świątłe zapewnieniem, że obraz jest „senza dubbio Originale del celeberimo Dipintore Raffaelo d'Urbino, lume e decoro principalissimo dell' Arte non meno che della nostra Italia". Mimo tego gorącego, a rzeczowego protestu Rossiego obraz w roku 1754 przeszedł na własność dworu saskiego.

Odtąd nie przestaje Sykstyna być przedmiotem zachwytu całego świata kulturalnego. Umieszczono ją w galeryi Drezdeńskiej w gabinecie osobnym, oddzielnie. Oko widza na nią jedynie ma spoglądać, nie odrywając się ani na chwilę od tej wizyi nieziemskiej — nawet nie ku innym arcydziełom, w które obfitują bogate zbiory Drezdeńskie. Tak malowidło to wyłączając z szeregu innych, stawiając je nadto w ołtarzu, jakoby w kaplicy, starano się wywołać zgóry pewien nastrój, potrzebny do odczucia jego piękności.

A przecież . . . . .

Wszyscyśmy ją sobie inaczej wystawiali. Znaliśmy Sykstynę z licznych, bezustannie w świat puszczanych reprodukcyi, a przynajmniej zdawało nam się, że ją znamy. Zaciekawiało nas tylko jedno jeszcze jedno pytanie: jak wygląda oryginał w barwach. Oko lubownika sztuki nowoczesnego przywykło do barw silnych, zdecydowanych, do barwnej różnorodności wogóle. Tak namalowana Sykstyna przekonałaby



Madonna Sykstyńska.

każdego odrazu, odrazu też wywarłaby najgłębsze wrażenie. Niestety! Barwy rafaelowskie nie są ani zbyt obfite w odmiany, ani też zbyt zdecydowane: w wielkich płaszczyznach rozmieścił mistrz na obrazie niebieską, żółtą, zieloną, czerwoną i trochę białej, a wszystkie na pewien ciemnawy ton nastrojone i ze sobą stonowane — i oto wszystko. Na domiar złego czas i naprawy, nie zawsze właściwe, stępiły pierwotny połysk kolorów. I cóż dziwnego, że prysnął czar wymarzony, kiedy oczekiwanie, ku temu jednemu przeważnie kierowane szczegółowi, zawiedzione zostało? Wszakżeż reszta nam już nic nowego powiedzieć niezdolna, bo przecież „znamy“ obraz aż nadto dobrze.

Czy naprawdę? Mała próba: proszę zapytać znajomego, który codopiero oglądał Sykstynę w Dreźnie o kilka szczegółów, n. p. czy Matka Boska stoi czy kroczy, na którem ramieniu trzyma Dzieciątko, jak poruszone są jej szaty, dokąd wzrok poszczególnych postaci skierowany, jaki jest gest św. Sykstusa — proszę zapytać, czy spostrzegł, że jeden z obu aniołków, owych aniołków, znanych każdemu nieledwie dziecku, ma tylko jedno skrzydło? Na te pytania spotkamy się conajmniej ze zdziwionem pytaniem, na co to wszystko zapamiętać i wiedzieć potrzeba, kiedy to takie obojętne i mało znaczące dla oceny i wrażenia całości.

Tak? Kiedy właśnie te drobnostki pozorne składają się razem na piękno obrazu; w nich to ujawnia się subtelność twórczego ducha Rafaela, która płynie z iście mistrzowskiego ich zespołu. Nie zastanowiwszy się nad tymi szczegółami i ich znaczeniem dla kompozycyi, zawsze z obserwacyi obrazu wynosić będziemy luźne tylko wspomnienia jakoby oderwanych z całości wycinków, które będą niezdolne dać nam owo potężne wrażenie, jakiego pragnęliśmy i spodziewaliśmy się doznać na widok Sykstyny.

Niepodobną jest rzeczą, w krótkim tym szkicu wskazać na wszystko, co stanowi jądro i tajemnicę subtelności układu obrazowego Sykstyny. Lecz kiedym wyżej zapamiętanie sobie i zgłębienie szczegółów napozór drobnych wymienił jako condicio sine qua non zrozumienia z niej trwałego, należy mi choćby na kilka wskazać dla poparcia swego postulatu.

Przypatrzmy się najgłówniejszej postaci kompozycyi, Matce Boskiej z Dzieciątkiem. Oboje stanowią nierozerwalną całość, złączoną w sobie sylwetą, monumentalną, a właśnie tą monumentalnością wyszczególnioną z pośród reszty figur. Lekkim, jakby bezcielesnym ruchem stąpa Najświętsza Panna po obłokach; szaty Jej rozwiane podnoszą wrażenie tego ruchu, szczególnie zaś nakrycie głowy, spływające z niej obok lewego ramienia ku biodrom. I to nakrycie rozwiane w przeciwstawieniu do lekko tylko wysuwającego się konturu Bożego Dziecięcia, spoczywającego po prawej stronie Matki na jej ramionach, stanowi bardzo ważny, konieczny czynnik w zrównoważeniu całej linii sylwetowej.

Po bokach tej monumentalnej postaci Bogarodzicy klęczą na obłokach św. Sykstus i św. Barbara. Czy zastanawialiśmy się kiedy nad ich mistrzowskiem rozmieszczeniem w kompozycyi, nad skontrastowaniem ich ruchu w każdym z obojga Świętych dla siebie i w stosunku wzajemnym oraz do Madonny? Wszystko w nich obliczone na to, by postać główną wysunąć na plan pierwszy, mimo że i sami nie przestają ani na chwilę interesować, że nie są tylko akcesoryami, dekoracyą malowidła. Postać św. Papieża wysuwa się wprawdzie ruchem ku widzowi, lecz głowa, zwrócona ku zjawisku nieziemskiemu, cofa ją znów w głąb obrazu. Św. Męczennica przeciwnie postacią skierowana ku Matce Bożej; zato głowa jej niemal en face zwraca się ku widzowi.

Podobnie ruch ramion, wysuniętych ku patrzącemu, na obraz u św. Sykstusa, a idących w głąb u św. Barbary, podnosi kontrapost każdej z postaci, stanowiąc zarazem kontrast w ruchach obojga, które znów w żywem są przeciwieństwie do frontalności Madonny. Kontrasty te przeprowadził mistrz najsubtelniej w odmiennie pokierowanym wzroku postaci. Matka Boska i Dzieciątko patrzą wprost przed siebie, św. Sykstus wznosi wzrok ku Najświętszej Pannie, św. Barbara zaś spuściła go ku aniołkom, umieszczonym na kraju dwuch światów. Wystawmy sobie wzrok obojga Świętych, spoczywający, jak wzrok Bogarodzicy i Dzieciątka, na widzu lub skierowany równocześnie ku grupie głównej, a odejmie się kompozycyi jednę z walnych tajemnic jej piękności artystycznej, sprowadzając w nią pewną jednostajność a nudę nawet.

Każdy ten ruch przecież i każde spojrzenie figur obrazu ma nietylko znaczenie czysto kompozycyjne, dążące jedynie do ożywienia układu obrazkowego w zespole postaci — w zespole, w którym mistrz umieścił wszystkie te postacie obok siebie, unikając starannie wszelkiego przerzynania linii ich konturowych, do tego nawet stopnia, że u podpartego na lewem ramieniu aniołka wolał opuścić lewe skrzydło, byleby nie przecinało go prawe małego sąsiada. Niezwykle głębokie ujęcie Sykstyny rafaelowskiej zrozumie się dopiero wtenczas, jeśli usunie się ją w myśli z galeryi, a przeniesie z powrotem do kościoła. Jest ona bowiem jednym z tych obrazów religijnych, które, nie dla gapiów stworzone, domagają się koniecznie kontaktu żywego z ludem, przed nim, rozmodlonym. Stąd tylko w takiem otoczeniu zrozumianą i do głębi odczutą być może.

Trzeba znać dokładnie Rafaela jako malarza ulubionych naonczas „Madonne con Bambino", trzeba śledzić chronologicznie rozwój artystycznego pojęcia tego przedmiotu u naszego mistrza, ażeby umieć ocenić, na jak niedoścignionych wyżynach stanął w oddaniu tej postaci w swem malowidle piacentyńskiem. Matka Boska przestała tu już być ową nieledwie ziemską tylko matką, tulącą śliczne dzieciątko do łona — zawsze nieziemską, jedynie przedziwną pięknością swoją. Sykstyna jest w całem tego słowa znaczeniu Matką Bożą, jak chłopię, na Jej ramionach spoczywające, jest całkiem tylko Boskiem Dziecięciem. I taż to wzniosła myśl przewodnia, ażeby przedstawić ludowi niebiańską Bogarodzicę, nie w pełni Jej chwały, lecz taką, do jakiej śmielej modlić się można, stworzyła wizyę rafaelowską, wizyę, która światowi ziemskiemu z zaświatem zetknąć się pozwala.



Madonna di Foligno.

Za lat młodszych byłem w Częstochowie. Do dziś nie zapomniałem wrażenia, jakie na mnie wywarło uroczyste odsłonięcie cudownego obrazu. Zdawało się, że ta Matka Boska, której imię w owej chwili było na ustach każdego, zstąpiła pomiędzy lud, duszą i sercem rozmodlony. Pod takiem to może wrażeniem zrodziła się kreacya Rafaela. Rozsunęła się kotara, zasłaniająca widok na krainę niebieską, a pośród chórów anielskich ukazuje się wiernym, Jej imienia wzywającym, a polecanym Jej przez dwoje Świętych, Matka Syna Bożego, niosąc nie dziecię ku ludowi, ale Księcia niebios, który zgładzić ma grzechy świata całego.

Wzniosłość i niebywałą głębię tego utworu w kompozycyi i myśli, w nim zawartej, poznamy dobitniej jeszcze, jeżeli przeciwstawimy Sykstynie pod wielu względami podobną do niej „Madonna di Foligno", namalowaną przez Rafaela trzy lata wcześniej. Ta Matka Boska z Dzieciątkiem nie różni się niczem prawie od całego szeregu Madon rafaelowskich, chyba tem, że zasiadła na obłokach wśród główek anielskich. Świat ziemski reprezentują Święci i fundator, w pejsażu

rozmieszczeni. Obraz ten, by go zrozumieć, nie domaga się więc kontaktu z otoczeniem, jak Sykstyna, która bezwzględnie na ten łącznik duchowy jest skazaną.

Poznań.

Ks. prof. dr. Szczęsny Dettloff.

TRZY PERŁY.

Trzy perły dałam ludzkości —
Cudowny był ich blask. —
Spłaciła mi dług wdzięczności
Goryczą zmiennych łask...

Klejnot rzucono niedbale
Na starych śmieci stos...
Ostygło serce w zapale —
W piersi mi zamarł głos...

Ból wielki z krzywdy doznanej
Czas zmienił w drwiący śmiech —
Lecz krew wciąż sączy się z rany,
Na myśl o perłach trzech ...

Marya Szembekowa.

Z myśli S. Lagerlöf.

Boże, pozwól dojrzeć duszy mej, nim ją zeżniwujesz.

Tłum. Dr. I. Zielewicz.



C. Walczak.



D. Mukułowska

DZISIAJ.

W czasach rozkwitu naszej dziejowej wielkości i chwały dziwne jakieś przeczucia i dziwny niepokój o przyszłość trapił najpoważniejsze umysły. Dawali temu wyraz i prostak Rey i wykwintny Kochanowski, i wichrowaty Orzechowski i taki zrównoważony dyplomata jak Krzycki, i mężowie tej miary, jak Górnicki, Karnkowski i Skarga. Rozerwą nas jako „psy flak,“ mówił Orzechowski. Natchniony zaś kaznodzieja proroczym napominał głosem, karcił nasze grzechy i błędy i do opamiętania pobudzał. Wo-



D. Mukułowska.

łał do głuchych i niepoprawnych: Nikt z serca Rzeczypospolitej nie miłuje", „miłujecie pożytki swoje pojedynkowe, a pospolite burzycie". I oto po dwóch wiekach spełniły się straszne jego przepowiednie i włożono „jarzmo żelazne na szyje nasze" i jesteśmy „bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy, wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy włóczęgowie".

Za wszechwładztwo jednostki, znajdujące swój najwyższy wyraz w liberum veto; za wybujały egoizm osobisty, czy rodowy, objawiający się nawet wśród najlepszych, nastąpiła długa, już przeszło sto lat trwająca pokuta. Chociaż w dniach ucisku rozgorzały serca nasze i odtąd już nic nie zdołało wyziębić miłości do tej, co „niezginęła"; chociaż na pobojowiskach świata całego nie szczędziliśmy ofiar z krwi i mienia; chociaż Racławice, Grochów i Ostrołęka odkupiły hańbę rozbiorów, — to jednak godzina wyzwolenia nie wybiła jeszcze....

Czy wybije dzisiaj?

Dziś, jak przed wiekami, winniśmy wszyscy być gotowi poświęcić jakiekolwiek „pożytki swoje pojedynkowe" dla „pospolitych"; winniśmy „z serca Rzeczpospolitą miłować", mieć, mówiąc słowami starej kolendy: ten „żar serca czysty", co sprawi, że zamilkną wszelakie osobiste względy a jedynie wzgląd na przyszłe dobro Ojczyzny nami kierować będzie.

Wśród ogromu spustoszenia i klęsk wojennych, które na ziemię naszą spadły; wśród rozterki duchowej, szarpiącej duszę polską, gdy w tej strasznej wojnie nieraz brat przeciw bratu walczyć jest zmuszony, ta dusza polska, dusza narodu nie omdlała. Przeciwnie zahartowała się i wzmogła. Nietylko serca rozpaliły się zapobiegliwą i ofiarną troską o tych współbraci, co cierpią nędzę i głód, ale ujawniła się i energia życiowa tak dojrzała, że potrafi nakładać hamulec niewczesnym porywom i tak czynna, że gdzie tylko mogła, jęła umacniać i budować podwaliny dla narodowego bytu i rozwoju. Z wiarą patrzy ona w przyszłość, z wiarą, że

Ze zdarzeń powodzi
Ponad klęsk otchłanie
Niezrodzone się narodzi
Sprawiedliwość wstanie.

Ludwik Mycielski.

SPIS AUTORÓW.

	Str.
J. E. Arcybiskup Ks. Dr. Dalbor	5
Brownsford Kazimierz	64
Chłapowski Juliusz	48
Chłapowski Franciszek Dr.	30
Chrzanowski Bernard	43
Cichowiczowa Marya	13
Dettloff Szczęsny, Ks. Dr.	73
Dobrzyńska-Rybicka Dr.	7, 59
Drwęski Jarogniew	28, 34, 68, 72
D. J.	72
Gajewska F.	28
Galińska Jadwiga	60
Grabska Leonia	40
Graczyński J.	15, 21, 23, 25, 37, 47, 54, 57, 71
Hammarowa Marya	53
Hulewicz Jerzy	13
Janta-Połczyńska Marya	47
Jaworowiczowa Jadwiga	28, 64
Jerzymir	34

	Str.
Kantakówna Marya	66
Karpiński Antoni	64
Karwowski Stan. Dr. Prof.	8
Kościelska Marya	69, 70
Kwilecka Marya	65
K. J.	49
Lisiecka Marya	41
Mańkowski Alfons Ks.	61
Marcińkowski Wł.	31
Mieczkowska Marya	72
Mieczkowski Stan.	72
Mukułowska W.	29
Mukułowska Dora	77
Mycielski Ludwik Dr.	77
M. L.	6
Niemojowski Wincenty	59
Osten Lucyan	19
Osten Marya	30
Ruszczyńska M.	8

	Str.
Sieniawska	51
Sienkiewicz Henryk	18
Szembekowa Marya	55, 76
Szeptycka Jadwiga	65
Szuman J. K.	34
Topór Zbigniew	27
Trzciński Józef	52
Turnowa Ludwika	6
Uriela	14
Walczak C.	76
Wicherkiewiczowa Marya	44, 68
Wierzbiński Maciej	15
Wilkanowicz Roman	13
Wywiórski M.	11, 39, 60
Wize K. F.	40
Zefowicz	42
Zielewiczówna Zofia	35
Zielewicz I. Dr.	76

NAKŁADEM ANNY MOSZCZEŃSKIEJ,
JAKO SEKRETARKI TOW. ZIEMIANEK.
CZCIONKAMI DRUKARNI PRACY W POZNANIU.
TELEFON 3097.